

NOWA POLSKA

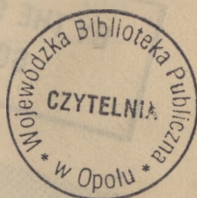
MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 2

**Kolekcja
Emila Kornasia**



MANFRED LACHS

MIECZYSLAW JASTRUN

IRENA TUWIM

ZYGMUNT HAUPT

PAWEŁ HERTZ

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

KAROL ESTREICHER

STEFAN THEMERSON

STEFAN ŁĘCZYC

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

ANTONI SŁONIMSKI

STANISŁAW ILEWICZ

LONDYN

LUTY

1946

Millions of Beards Demobbed Daily

BY THE SOFTENING SMOOTHING
SOOTHING LATHER OF



Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe
Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

KOSTIUMY skrojone przez **VANĚK'A**

noszą na sobie cechę mistrzowskiego
ucjcia specjalisty kontynentalnego.

Świetnie skrojone i uszyte wyłącznie
z najlepszych materiałów.

4, WILLIAM STREET
Knightsbridge

London, S. W. 1,

również w BOURNEMOUTH

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W. 1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z
własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka
cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

SPIS RZECZY

	Str.
MANFRED LACHS — <i>Prawa Człowieka</i>	65— 73
MIECZYSLAW JASTRUN — <i>Spojrzenie w oczy</i>	73— 74
IRENA TUWIM — <i>Widzenie</i>	74— 82
ZYGMUNT HAUPT — <i>Rigor Mortis</i>	82— 90
PAWEŁ HERTZ — <i>Wiersze</i>	90— 91
JULIUSZ ŻULAWSKI — <i>Do przyjaciela poety; Powrót</i>	92
KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i>	93—101
STEFAN THEMERSON — <i>Bayamus</i>	101—116
STEFAN ŁĘCZYC — <i>Dezertjer</i>	117—120
KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ — <i>Co to jest cywilizacja zachodnia?</i>	121—125
ANTONI SŁONIMSKI — <i>H. G. Wells</i>	125—127
STANISŁAW ILEWICZ — <i>Podporucznik O. ucieka</i>	127—128

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 1

LONDYN

L U T Y

1946

MANFRED LACHS

PRAWA CZŁOWIEKA

1. PRAWA CZŁOWIEKA W HISTORII DOKTRYN PRAWA

Dokładna analiza tego problemu wymagałaby obszernego dzieła. Nie jest to zadaniem niniejszej pracy. Ogranicza się ona tylko do krótkiego, historycznego szkicu jako tła teraźniejszości. Etapy przeszłości stanowią przecież psychiczny i społeczny podkład tego, co dziś przeżywamy. Są to fazy w rozwoju walki o takie warunki życia społecznego, „bez których człowiek nie może w zasadzie dążyć do swojej doskonałości.”¹⁾

Już Herodot mówił o równości wobec prawa i o wolności słowa. Dla niego *nomos* nie było prawem pisanim, a prawem zwyczajowym, wyrażającym z świadomości i wolnego życia społeczeństwa.²⁾ Sokrates głosił swoje idee o kontrakcie między państwem a społeczeństwem. Ale dopiero stoikom przypadło w udziale bronić zasady równości i to nie tylko w granicach państwa ale i poza nim.

Rzym Cicerona, Seneki i Ulpiana przejął tę najważniejszą tezę równości, jako elementarne prawo ludzkie. I dlatego tenże Ulpian, wielki prawnik rzymski, buntował się przeciw niewolnictwu. Przez Rzym do średniowiecza ciągnie się ta wiara w prawa człowieka, prawa dane mu — nie przez innych ludzi, ale przez siły nadprzyrodzone, bez względu na to, gdzie ich jest źródło.

Niby fale przyływu i odpływu morza, *corsi e ricorsi*, zasada praw człowieka wznosi się i opada. Machiavellizm i absolutyzm są znowu krokiem wstecz. Wkrótce jednak okres reformacji, jako reakcja przeciw prześladowaniom religijnym głosić zaczyna hasła wolności sumienia i religii. Traktat Augsburski (1555), którym katolicy i protestanci doszli do porozumienia formułą: *cuius regio eius religio*, głosił w paragrafie 27: W wolnych miastach wyznawcy obydwu religii mieli ze sobą współżyć w pokoju. Traktat Westfalski potwierdził ten „Reichsabschied” z 1555. Tak powstały pierwsze prawa grup religijnych. Powoli universitas chrześcijańska rozpada się. Feudalizm, ten granitowy blok, na którym się ona opierała ustępuje miejsca kapitalizmowi: znika „*unus corpus Christianum*”.

Przychodzi teoria o kontrakcie społecznym, która stała się dominantą życia politycznego do XVIII wieku. Sama koncepcja implikuje w sobie istnienie praw jednostki nim ona jeszcze wchodzi w „umowę społeczną”. Równocześnie następują odkrycia wielkich obszarów zamorskich. Obszary te zamieszkałe przez ludy *bors de chretienité* wymagały nowych norm —

¹⁾ Harold Laski: „Grammar of Politics”, London, 1941, str. 91.

²⁾ H. Lauterpacht: „A Bill of the Rights of Man”, New York, 1945.

prawa. Vittoria z Salamanki głosi zasadę równości tych ludzi z ludami Europy. Grotius zakłada teoretyczne podwaliny pod prawo narodów. Koncepcje filozofa genewskiego, odzwierciedlenie emocjonalizmu jego epoki odbijają się silnym echem na życiu politycznym Francji i Ameryki. Ustępują one później miejsca szkole historycznej, utylitaryzmowi i pozytywizmowi.

Już po deklaracjach praw człowieka w Virginii 1776, Pensylwanii i Paryżu — następuje atak na wszelkie prawo pisane, wieczne, gwarantujące wolność i równość człowieka. Pozytywizm odrzucał wszelkie gwarancje, ale praktyką życia uzasadniał potrzebę ochrony jednostki i grup. Nie chciał przejąć deklaracji praw człowieka, ale używał często *intervention d'humanité*.

Ale zatrzymajmy się na tym właśnie szczeblu, nim przejdziemy do analizy XX stulecia.

Na przestrzeni tych wielu wieków głównym i najsilniejszym filarem praw człowieka, było *t.jzw. prawo natury*.

Słusznie podkreślono, że spełniało ono w historii szereg najróżnorodniejszych funkcji: było instrumentem transformacji starego prawa cywilnego Rzymian w szerszy system kosmopolityczny; było ono bronią w ręku kościoła i cesarza w wzajemnej walce, która charakteryzowała średnio-wiecze; było wzywane w obronie prawa narodów — a także w obronie wolności praw jednostki.³⁾

Prawo natury było bodźcem rozwoju, było tą siłą dynamiczną walczącą ze statyzmem życia: było wołaniem o lepszy świat, lepsze warunki życia dla człowieka.

Ale bardzo często było ono też nadużywane: Arystoteles używał go jako argumentu uzasadniającego niewolnictwo, w wyżej wymienionej walce cesarstwa z papieżem starano się go użyć po obu stronach.

Historycznie prawo natury, z którego z kolei zrodziło się prawo narodów oparte jest a nawet głęboko zakorzenione w żądaniach i buncie przeciw samowoli, tyranii, absolutyzmowi i niesprawiedliwości⁴⁾

Tak też pierwsi teoretycy prawa narodów Grotius, Vattel, Wolff i Pufendorf byli wyznawcami prawa natury.

Pozytywizm i historyczna szkoła Savignego XIX wieku odrzuciły prawo natury. Bentham nazwał je „prawem wymagowanym” a twory jego „*a bastard brood of monsters*”.

Dopiero ostatnie lata przyniosły renesans prawa natury, a tym samym renesans koncepcji praw człowieka. Historycznie i socjalnie zagadnienie to omówione będzie poniżej.

Zadaniem powyższych uwag było tylko wykazanie, że koncepcja pewnych, nie wszystkich, praw człowieka ma długą historię. Niby nic snuje się przez wieki. Zawsze jednak stawał problem: prawa człowieka? — jakie? — przeciw komu? — w jakich rozmiarach? — jak zagwarantowane? — i czy dla wszystkich równe?

Rzadko w historii podnosiły się głosy w obronie praw człowieka, które by obejmowały wszystkich ludzi. Zawsze prawie w doktrynach tych był pewien moment negatywny, moment ekskluzywności: czy to wyłączający pewną grupę ludzi z powodu ich specjalnej kwalifikacji z dobrodziejstw ideału czy też kierujący ostrze swoje przeciw jakiejś grupie, pojętej jako element wrogi. Zawsze prawie cień nierówności zasłaniał drogę do pełnego uniwersalizmu praw człowieka. W tym leżała niedoskonałość wszelkich doktryn, głoszących potrzebę gwarancji praw ludzkich. W tym leżała ich słabość. Bardzo często oportunizm epoki i utylitaryzm koncepcji zakreślał bardzo ciasny horyzont. A działało się to zupełnie niezależnie od doktryny politycznej, której idee te służyły, bo wszystkie prawie z tych doktryn były niedoskonałe.

³⁾ Friedman: „Legal Theory”, London, 1945, str. 18.

⁴⁾ Lauterpacht: op. cit., str. 39-40.

2. GWARANCJE PRAW CZŁOWIEKA W USTAWACH NOWOCZESNYCH

Po ogłoszeniu deklaracji praw w Virginii 1776, Tomasz Jefferson wprowadza t.zw. „Act for Religious Freedom” w r. 1785, który głosi: „*that all men shall be free to profess, and by argument to maintain, their opinions in matters of religion and that the same shall in no wise diminish, enlarge or affect their civil capacities*”. Gwarancje praw człowieka przyjęły następnie stany Pensylwanii, Maryland, Delaware, New Jersey, Półn. i Połudn. Karoliny, konstytucje Nowego Jorku i Nowej Georgii 1777, Massachusetts, 1780, deklaracja niepodległości 1776.⁶⁾

Deklaracja praw francuska z r. 1789 była pierwszym krokiem na kontynencie europejskim. Deklarację tę przyjmuje konstytucja z r. 1791, 1793, 1795. Wiek XIX oznacza już uniwersalne prawie przyjęcie tych zasad w konstytucje, jako podstawowe ich normy. Za Francją poszły: Szwecja (1809) Hiszpania (1812), Norwegia (1814), Belgia (1831), Sardynia (1848), Dania (1849), Prusy (1850), Szwajcaria (1874), konstytucja francuska z 1848 r., Chiny (1931), Siam (1932), Afganistan (1931), Tongo (1933) i Turcja (1928).⁶⁾

Przyjęły ją też polskie konstytucje, majowa z 1791 i marcowa z 1921 r. Tak zatem ideał praw człowieka stał się literą prawa.

Nie trzeba jednak dziś, specjalnie dziś wywodzić, że litera stała się wkrótce martwą, że mimo pięknych słów i majestatu aktów konstytucyjnych prawa człowieka stały się instrumentem w rękę polityki. Historia ostatnich lat przekonała nas, jak łatwo łamać można konstytucje i jak często gwarancje stają się niczym więcej jak papierem bez wartości. Nie trzeba na to specjalnych argumentów czy dowodów.

W historii gwarancji praw ludzkich specjalne miejsce zajmuje W. Brytania. Bez konstytucyjnych gwarancji, a tylko drogą zwykłych ustaw z biegiem lat i wieków powstał system norm prawnych, który otacza obywatela brytyjskiego pełną opieką i ochroną prawną. Zaczęło się od Magna Charta, poprzez Habeas Corpus, Petition of Rights, Bill of Rights aż po Act of Settlement. Z Anglii purytanie zawieźli za morze idee wolności, które znalazły wyraz w wymienionych wyżej konstytucjach dawnych kolonii. Stąd szły wpływy Milтона, Locke’a i Blackstone’a. W Anglii pisał obywatel Tomasz PAINE, że „*men are all of one degree and consequently all men are born equal, and with equal natural rights*”. Ten sam Paine, który musiał opuścić swój kraj, by rzucić się w krwawy wir rewolucji francuskiej.⁷⁾

3. SPRAWA PRAW CZŁOWIEKA NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Początki prawa narodów organicznie związane z prawem natury, siłą rzeczy związane są też z prawami człowieka (*ut supra*). W chwili gdy Europa przestała być domeną władzy jednego państwa i stanęła w obliczu współistnienia szeregu państw równych sobie zaczęły się wylaniać zagadnienia wzajemnych ich między sobą stosunków. Rozpoczęła się era traktatów i umów międzynarodowych.

I rzecz charakterystyczna: pierwsze traktaty związane były z prawami człowieka. Były to t.zw. kapitulacje. Ich zadaniem była gwarancja praw obywateli państw europejskich w krajach nie-chrześcijańskich. Pierwsze kapitulacje zawarte zostały między Francją a Turcją.

Praktycznie wartość ich leżała w fakcie, że obywatel francuski czy angielski przebywający na terenie Turcji podlegał własnemu prawu, orzekanemu przez własny sąd i wyjęty był spod jurysdykcji państwa nie-chrześcijańskiego.

⁶⁾ Lauterpacht: op. cit., str. 23.

⁶⁾ Lauterpacht: op. cit., str. 24.

⁷⁾ Niedawno ukazała się ciekawa biografia Tomasza Paine’a p.t. „Citizen Tom Paine” by Howard Fast.

Zrodzone w w. XVI kapitulacje doszły do szczytu rozkwitu w w. XVIII i XIX. Wiek XX jest świadkiem ich zupełnej likwidacji. Traktat w Lauzannie zniósł je w odniesieniu do Turcji; w zmienionej jeszcze formie istnieją jako trybunały mieszane w Egipcie — zupełnie znikły one na Dalekim Wschodzie.⁸⁾

Fakty te są znane. Cytowane są one tutaj dlatego, że stanowią fragment bardzo ciekawy w rozwoju prawa narodów. Z jednej strony — od samego początku oznaczały gwarancję praw człowieka przez traktat międzynarodowy, gdy prawo narodów przez wieki całe miało być tylko prawem między państwami, do którego jednostka (której brak było podmiotowości prawnej) nie miała dostępu. Z drugiej strony były początkiem pewnej anomalii w stosunkach międzynarodowych: gwarancji praw obcokrajowców, specjalnej nad nimi opieki, podczas gdy ludność tubylcza wyjęta była spod jakiegokolwiek opieki prawa narodów. Anomalia ta, jak wiadomo, trwa do dnia dzisiejszego. Ponadto stanowiły one początek t.zw. *interventions d'humanité*.

Już z końcem XVIII w. mocarstwa zachodnie interweniowały u rządu tureckiego w sprawie położenia ludności chrześcijańskiej w Turcji. Było to w związku z przyznaniem jej pewnych praw. Ale jeszcze wcześniej, bo już w r. 1745 nastąpiła interwencja ambasadora brytyjskiego przy dworze austr. Maria Teresa zamierzała ukarać Żydów Lotaryngii, ponieważ zajęli oni wrogie do niej stanowisko. Zarządziła by ich wygnano z Pragi.

Jerzy II polecił w związku z tym swemu ambasadorowi złożyć demarche cesarzowej. Interweniował też ambasador holenderski. I ta jedna z pierwszych, *intervention d'humanité* odniosła skutek.

Na przestrzeni wieku XIX cały szereg takich interwencji dotyczył przede wszystkim ludności żydowskiej. Szereg takich interwencji miał też miejsce w w. XX. I tak stały się pewnego rodzaju instytucją w stosunkach międzynarodowych, zdefiniowaną przez Wheaton'a, jako uzasadnioną wszędzie tam, gdzie prawa ludzkie są gwałcone przez „a barbarous and cruel government”.⁹⁾

Sprawa gwarancji praw człowieka względnie pewnych grup społecznych stanowiła też przedmiot rozważań szeregu konferencji międzynarodowych w w. XIX.

W r. 1878 Rumunia podpisała traktat berliński, którego art. 44 zapewniał wolność i równość wszystkich obywateli Rumunii.

Jeszcze przedtem art. XIII, XVI i XVIII protokołu z lutego 1856, spisane w Konstantynopolu i art. 46 konwencji paryskiej z 10. 8. 1858 zawierały gwarancję wolności i równości wszystkich religii na terenie księstwa wołoskiego i mołdawskiego („toutes les classes de la population sans aucune distinction de naissance, ni de culte”).¹⁰⁾

Na wspomnianym już kongresie berlińskim poza Rumunią też Bułgaria, Serbia, Montenegro i Turcja przyjęły w art. 5, 26, 34 i 62 zobowiązania w przedmiocie gwarancji praw religijnych i politycznych.

Dopiero w. XX wprowadza w dziedzinie tej pewne *novum*. Sprawa gwarancji praw człowieka na różnych odcinkach życia staje się poważnym punktem w traktatach międzynarodowych.

⁸⁾ Funkcję kapitulacji zdefiniował wyrok Sądu Najw. St. Zjedn. w U.S. v. Ross (1891, 140, US, 453) „essential to the peaceful residence of Christians within these countries and the successful prosecution of commerce with their people”.

⁹⁾ Wheaton: „Elements”, 173, wyd. 6. Literatura dotycząca zagadnienia interwencji humanit. jest bardzo obszerna. Na uwagę zasługują jednak: Pillet: „Recherches sur les droits fondamentaux des États”, Paris, 1899. Karl Renner: „Der Kampf der oesterreichischen Nationen um den Staat”, Wien, 1906. Aulard-Mirkine-Guetzevitch: „Déclarations des droits de l'homme”, Paris, 1929. Cohen: „La question juive devant le dr. intern.”, 1922.

¹⁰⁾ Livre Jaune: „Congres de Paris”, 1856. Livre Jaune: „Conférence de Paris”, 1858

- a) traktaty dotyczące ochrony pracy, robotnika i ubezpieczeń,
 - b) traktaty dotyczące niewolnictwa (Genewa 1926),
 - c) traktaty dotyczące handlu żywym towarem (Genewa 1931).
- Najważniejsze jednak pociągnięcia stanowią mandaty i traktaty mniejszościowe, które były dzieckiem ostatnich traktatów pokojowych.

Mandaty:

Opierają one swoją strukturę prawną na art. 119 Traktatu Wers., art. 95 traktatu z Saint Germain, art. 79 z Trianon i 132 z Sèvres, na mocy których państwa w pierwszej wojnie światowej zwyciężone zrzekają się praw swych do obszarów kolonialnych, dotychczas w ich posiadaniu się znajdujących, na rzecz Mocarstw Sprzymierzonych i Skojarzonych. Dalszym i ostatecznym uregulowaniem tej kwestii był art. 22 Paktu Ligi Narodów. Dla zrealizowania „dobrobytu i rozwoju tych ludów” powierza on opiekę nad nimi „narodom rozwiniętym, które ze względu na swe zasoby, doświadczenie i położenie geograficzne mogą najskuteczniej przyjąć na siebie podobną odpowiedzialność i zechcą ją przyjąć; narody te wykonywałyby opiekę w charakterze mandatariuszów Związku i w jego imieniu”.

Art. 22 w dalszym ciągu przeprowadza rozdział między trzema grupami mandatów, które następnie oznaczone zostały jako mandaty A, B i C. Szczegóły całego zagadnienia dziś, częściowo przynajmniej, należą do historii. W związku jednak z omawianymi tu sprawami podkreślić należy, że mandaty uznane zostały jako „święte posłannictwo”, i jako „rękojmia spełnienia tego posłannictwa” wcielone w statut Ligi. W ten sposób dobitnie i niedwuznacznie przyjęto zasadę pełnych praw ludności tubylczej na obszarach kolonialnych. Jakkolwiek prawa te politycznie są jeszcze *in statu nascendi* (mandaty B i C) to jednak potencjalnie istnieją.

Kto zna historię walk o prawa ludzkie, które toczyły się od chwili pierwszych odkryć, buntów i wyzwań ludów kolorowych przeciw imperializmowi, ten uznać musiał, że mandaty prawnie i formalnie stanowią pierwszą gwarancję praw ludzkich dla świata ludów kolorowych. Warto przypomnieć, że pierwszym oficjalnym dokumentem w tej sprawie była bulla Pawła III z 1537 — *Veritas ipsa*, która nadaje tubylcom miano ludzi wolnych. Ale już w pierwszych koloniach zamorskich spotykamy niewolników. Pierwsze kodeksy i ustawy pozbawiają ich wszelkich praw. Zaledwie kilka wybitnych jednostek potrafiło stanąć w ich obronie: Bartholomé de Las Casas, Francisco Vittoria, Markiz Pombal. Sławny John Marshall wydawał wyroki pozbawiające ich praw, jak np. w sprawie sławnego szczepu Cherokee i dopiero w XX przyniósł im pełne prawa.¹¹⁾ W St. Zjedn. otrzymali oni równouprawnienie dopiero ustawą z 2.VI.1924, w Paragwaju nastąpiła ich całkowita asymilacja, w Kolumbii żyją w rezerwacie obok Bogoty, a Brazylia dopiero w r. 1928 dała im pełne prawa. W Afryce ich sytuacja jest jeszcze ciągle niezadawalająca: W Unii Połudn. Afrykańskiej posiadają ograniczone prawa polityczne, a w Rodezji istnieje jeszcze ciągle t.zw. *black belt*, ograniczenie prawa osiedlania się.

Mandaty były poważnym krokiem naprzód. Dziś, gdy sprawa ma przejść w nowe stadium powiernictwa, zagadnienie to nabierze innego charakteru. Wymieniłem je w tym miejscu dlatego, że jest fragmentem sprawy praw człowieka a i dlatego, że jak to wykazę poniżej, dotąd — całe zagadnienie praw człowieka prawo i polityka załatwiała tylko fragmentarycznie: brak było jednolitego, międzynarodowego rozwiązania.

W rzeczy samej zagadnienie kolonialne i powiernictwa wymaga w obliczu nowych zmian odrębnego i obszernego omówienia.

Traktaty mniejszościowe:

Mało było zagadnień prawnych, które by w latach dwudziestych i trzy-

¹¹⁾ Rodrigo Octavio: „Les sauvages americains devant le droit”, Recueil, 1930, str. 181

dziestych wywołały tak ogromną literaturę, jak ta, która powstała dokoła zagadnienia traktatów mniejszościowych.

Traktaty te były, jak to już wyżej wspomniałem, logicznym ogniwem w historii interwencji międzynarodowych, które rozpoczęły się kapitulacjami. Zrodziły się one z projektu Wilsona z 10.1.1919, w którym zawarty był *passus* dotyczący zobowiązań, jakie nowo-powstałe państwa będą musiały zaciągnąć w stosunku do Ligi Narodów, a te przed ich uznaniem dadzą gwarancję udzielenia mniejszościom rasowym i narodowym tych samych praw, jakie posiada rasowa i narodowa większość ich ludności. Zawarte one zostały z Estonią, Łotwą, Litwą, Polską, Czechosłowacją, Austrią, Węgrami, Rumunią, Bułgarią, Jugosławią, Albanią, Grecją, Turcją i Irakiem.¹²⁾

Postanowienia tych traktatów są znane. Należałoby się jedynie zastanowić nad bilansem ich istnienia przez okres dwudziestu lat. Były one zobowiązaniem jednostronnym i dlatego już w chwili ich podpisywania natrafiły na opory. Rumunia ignorowała je zupełnie, a ówczesny rząd polski bardzo niechętnie przyjął to zobowiązanie, uznając je za narzucone.

Jakkolwiek traktaty te nie nakładały na sygnatariuszy obowiązku włączenia ich postanowień w ustawodawstwo wewnętrzno-państwowe, to jednak ujęcie zobowiązań stanowiło niejako nakaz w tym kierunku. Nie wszystkie państwa przyjęły jednakową praktykę. Austria, Czechosłowacja i Węgry, Estonia, Łotwa i Litwa przyjęły ustawodawstwo liberalne, Jugosławia, Bułgaria, Rumunia i Grecja zajęły stanowisko mniej przychylne, podczas gdy Turcja, Irak i Albania prawie zupełnie zobowiązania swoje zignorowały. Polska, na odcinku ustawodawstwa, zbliżała się do grupy liberalnej. Ale ustawodawstwo nie było, jak wiadomo, ostatnim słowem. Poza nim i ponad nim stało życie codzienne którym w rzeczy samej rządziła egzekutywa, władze administracyjne. I na tym odcinku sprawa poważnie zawiodła. Cios niejako śmiertelny traktatom tym zadał ówczesny minister spr. zagr. Beck, który w r. 1934 oznajmił w Genewie koniec współpracy z Ligą na odcinku mniejszości tym samym zrywając jednostronnie zobowiązanie międzynarodowe.

Jakie były wady tych traktatów? Przede wszystkim zawarte w nich postanowienia ujęte były albo bardzo mgliście albo też zbyt schematycznie, dając zbyt daleką lub zbyt wąską sferę interpretacji. Procedura przewidziana przez Ligę nie była zbyt szczęśliwa. Petycje ciągnęły się zbyt długo, aż wreszcie zupełnie traciły na aktualności: nie było ustalonego terminu dla załatwienia spraw. Sprawy ginęły i Liga nie podejmowała żadnych kroków. A petycji było dość dużo. W latach 1929-1939 wpłynęło ich 585, z tego największa cyfra przypadła na rok 1930-31, kiedy wniesiono 204.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby traktatów tych nie było, sytuacja mniejszości w krajach tych mogła być znacznie gorszą, szczególnie, jeśli się weźmie pod uwagę wzrost tendencji totalitarnych i wzrost nacjonalizmu, w tej części świata. Mniejszości otrzymały szkoły, możliwość używania własnego języka i kultywowania tradycji. Ale wkrótce broń ich chroniąca obróciła się przeciw nim. Zaczęły być traktowane jako element obcy, powstawała linia podziału: polityczna, gospodarcza i społeczna: element obcy, który jednak nie miał ochrony tej, jaką posiada cudzoziemiec.

Dalszym poważnym momentem, który przyczynił się do załamania się całego systemu opieki nad mniejszościami był fakt, że ochrona mniejszości używana była jako instrument polityczny przez Niemcy i mniejszości niemieckie poza Rzeszą. 30% wszelkich petycji pochodziło od Niemców w Polsce. W atmosferze lat poprzedzających ostatnią wojnę

¹²⁾ Robinson i inni: „Were the Minorities Treaties a Failure”, N.J., 1943.

ochrona mniejszości stała się w ten sposób narzędziem budowy piątej kolumny.

Traktaty mniejszościowe były ostatnim wielkim pociągnięciem w dziedzinie obrony praw człowieka na płaszczyźnie międzynarodowej. Ale i one, podobnie jak wysiłki poprzednie, były tylko paliatywem. Dotyczyły tylko pewnych grup ludzkich, ściśle określonych i geograficznie ułożonych.

W chwili obecnej zachodzi możliwość kontynuowania ich praktyki w innej może formie. O celowości utrzymania ochrony mniejszości po ostatniej wojnie, gdy tak poważne przesiedlenia i dyslokacje ludności miały miejsce i gdy przed nami stoją tak odmienne zadania, przy doświadczeniach przeszłości, będzie mowa poniżej. Ale już w tym miejscu można stwierdzić, że jeśli zasada ochrony praw człowieka przyjęta ma być uniwersalna, odrzucić należy wszelkie połowiczne rozwiązania. Niechaj traktaty mniejszościowe przejdą do historii jako jeden z wielu wysiłków na tym odcinku, jako wysiłek w latach, w których prawa ludzkie znalazły się w największym niebezpieczeństwie zaatakowane przez brutalny hitleryzm i faszyzm.

Konkluzje.

Uwagi powyższe stanowią właściwie wstęp do rozważań nad potrzebą gwarancji praw człowieka i formą, jaką ona powinna przyjąć w przyszłości. Zadaniem ich było wskazać na etapy myśli ludzkiej w historycznym rozwoju i na fazy praktycznych pociągnięć czy w ramach jednego państwa czy to na płaszczyźnie międzynarodowej.

Prawa przyznane jednostce są wyrazem stosunku jaki istnieje między nią a zbiorowością. Nie oznacza to jednak apologii tych etapów historii które je gwałciły, bo w historii naszej cywilizacji mieliśmy okresy moralne i amoralne. Ale poprzez wstrząsy i przemiany, fazy „piękna” i „fazy pogardy”, wybuchały nacjonalizm i totalizm (by o ostatnich tylko mówić) droga wiedzie do pewnego zorganizowanego porządku rzeczy i respektu elementarnych praw człowieka.

4. PROJEKT PROF. H. LAUTERPACHTA :

An International Bill of the Rights of Man

Wstęp do projektu stanowi preambula, zawierająca cytaty z:

1. orędzia prez. Roosevelta do Kongresu z 6.1.1941,
2. Karty Atlantyckiej, 14.8.1941,
3. orędzia prez. Roosevelta do Kongresu z 2.9.1941.
4. deklaracji Zjednoczonych Narodów z 1.1.1942,
5. oświadczenia Churchilla przesłanego zebraniu protestacyjnemu, z powodu prześladowania Żydów, odbytemu w N.J. 29.10.1942.

Wstęp ten — jak zaznacza Lauterpacht, powinien zawierać ideologiczne momenty, wyższe i dalsze niż zobowiązania prawnicze, z uwagi na zasadniczy charakter Karty.

CZĘŚĆ I.

Art. 1.

Wolność człowieka jest w granicach przewidzianych prawem nienaruszalna.

Człowiek nie może być pozbawiony wolności, chyba wyrokiem sądu lub w związku z odbyć się mającą rozprawą sądową zgodnie z prawem. Areszt zarządzony przez władzę wykonawczą będzie uznany za bezprawny w czasie pokoju.

Ustanowi się ochronę przeciw samowolnemu i nieuprawnionemu aresztowaniu.

Ustawy zawierać będą postanowienia przeciw: zbyt długiemu aresztowi przed rozprawą, wygórowanym żądaniom kaucji lub odmowie zwolnienia za kaucją, bez podstaw, odmowie dopuszczenia dostatecznych dowodów i przeprowadzenia należytego postępowania w sprawach karnych; przeciw odmowie udzielenia opieki prawnej w rodzaju habeas corpus, retroaktywności ustaw karnych jak i nieludzkim i okrutnym metodom karania.

Art. 2.

Żadne państwo nie dopuści do praktyki niewolnictwa, lub handlu niewolnikami, lub pracy przymusowej chyba w postaci służby publicznej, równie wiążącej wszystkich, lub też jako część kary nałożonej przez sąd.

Art. 3.

Istnieć będzie pełna wolność religii.

Art. 4.

Wolność słowa i wyrażania opinii pismem czy jakimkolwiek innym sposobem nie będzie ograniczona lub zakazana.

Art. 5.

Istnieć będzie pełna wolność zgromadzeń i zrzeszania się.

Art. 6.

Nienaruszalność mieszkań prywatnych i tajemnica korespondencji będzie uznana.

Art. 7.

Wszyscy obywatele państwa korzystać będą z równych praw i pełna równość przynana im będzie przed władzami państwa. W szczególności nie będzie się czynić żadnych różnic z powodu religii, rasy, koloru skóry czy poglądów politycznych.

Obcokrajowcy nie będą pozbawieni pełnej i równej ochrony przewidzianej poprzedzającymi artykułami niniejszej Karty, ani też tych praw, które udzielone im zostały ustawami państwa, w którym mają miejsce zamieszkania. Obcokrajowiec legalnie wpuszczony do kraju nie może być wydalony chyba w wyniku decyzji sądu lub zalecenia jako forma kary za przestępstwa, przewidziane prawem jako uzasadniające wydalenie.

Art. 8.

Osoba będzie uprawniona do obywatelstwa państwa swego miejsca urodzenia, chyba wzgl. aż do chwili osiągnięcia pełnoletności, jeśli się oświadczy za obywatelstwem, z którego może korzystać z tytułu swego pochodzenia.

Nikt nie będzie pozbawiony swego obywatelstwa w drodze kary. Nie będzie też domniemania utraty obywatelstwa. Może to mieć miejsce jedynie równoległe z nabyciem nowego obywatelstwa.

Art. 9.

Nie będzie pozbawienia prawa emigracji i ekspatriacji.

CZĘŚĆ II.

Art. 10.

Żadne państwo nie pozbawi swoich obywateli skutecznych ich praw wyboru rządu i ustawodawców na płaszczyźnie równości, zgodnie z prawami państwa w wolnych, tajnych i periodycznych wyborach.

Art. 11.

Ilekcroć położenie polityczne czy stopień rozwoju społeczeństwa, które nie osiągnęło jeszcze pełnej politycznej niezależności, wzgl. jest kolonią czy obszarem mandatowym — wymaga dalszego stosowania zasady wzgl. metody powiernictwa lub mandatowej opieki innego państwa, tego rodzaju zmiana prawa samo-rządzenia wymagać będzie nadzoru i ostatecznej kontroli ciała międzynarodowego. W tym celu ustali się Statut Międzynarodowy ludów pod rządami kolonialnymi i mandatowymi.

Art. 12.

W państwach zamieszkałych przez poważną liczbę osób należących do innej rasy, grupy językowej czy wyznania niż ta do której należy większość ludności, mniejszości te — etniczne, językowe czy wyznaniowe będą miały prawo ustanowienia i utrzymania z proporcjonalnie im przydzielonych funduszy publicznych, szkół, instytucji kulturalnych i religijnych. Będą one miały prawo używania swego języka przed sądami i innymi władzami i organami państwa.

Art. 13.

W ramach swoich gospodarczych możliwości i rozwoju, państwa wprowadzą w życie przepisy dotyczące prawa pracy, prawa wychowania, pomocy publicznej na wypadek bezrobocia, starości, choroby, niezdolności do pracy — lub innych wypadkach niezawinionej nędzy.

Art. 14.

Działając w współpracy z innymi państwami i z Międzynarodowym Biurem Pracy, państwa poczynią kroki w kierunku stworzenia sprawiedliwych i ludzkich warunków pracy.

CZĘŚĆ III.

Art. 15.

Drogą odpowiednich środków konstytucyjnych każde państwo wcieli część I, niniejszej Międzynarodowej Karty Praw Człowieka, jako część swojego ustawodawstwa

wewnętrznej i konstytucji. Skutkiem prawnym tego przyjęcia będzie zniesienie wszelkich ustaw czy innych przepisów sprzecznych z brzmieniem artykułów Międzynarodowej Karty praw człowieka. Postanowienia niniejszej Karty nie ulegną zmianie i nie zostaną zniesione drogą ustawy lub w inny sposób, chyba w postaci umowy międzynarodowej wzgl. międzynarodowego uprawnienia w tym kierunku.

Art. 16.

Wprowadzenie w życie jakiegokolwiek ustawy przewidującej ochronę praw innych, czy zawierającej postanowienia odnośnie do bezpieczeństwa i dobrobytu społeczeństwa — nie będzie uznane za sprzeczne z gwarancją praw zasadniczych zawartych w części I. niniejszej Karty Praw Człowieka.

Art. 17.

W każdym państwie najwyższy trybunał sądowy albo Konstytucyjny Sąd dla spraw wolności będzie władny do orzekania w sprawach zgodności aktów ustawodawczych, sądowych i wykonawczych z postanowieniami części I. niniejszej Karty Praw Człowieka.

Art. 18.

Niniejsza Karta Praw Człowieka uznana niniejszym zostaje za integralną część prawa narodów. Poddana ona zostaje pod gwarancję Zjednoczonych Narodów świata. Zjednoczone Narody czuwać będą nad wykonywaniem jej postanowień.

Art. 19.

W ramach organizacji politycznej Zjednoczonych Narodów świata powołaną będzie do życia Wysoka Komisja dla czuwania nad przestrzeganiem postanowień Międzynarodowej Karty Praw Człowieka.

Komisja składać się będzie z osób niezależnych i najwybitniejszych, mianowanych przez Radę Zjednoczonych Narodów. Pomocną będzie Komisji sekretariat mianowany przez Prezydenta Komisji.

Komisja zbierać będzie informacje i przyjmować petycje oraz podania dotyczące stosowania Międzynarodowej Karty Praw Człowieka. W sprawach petycyj i innych Komisja komunikować się będzie z państwami których one dotyczą i otrzymywać będzie od nich uwagi. Komisja przedkładać będzie roczne sprawozdania Radzie Zjednoczonych Narodów i w wypadkach gdy zajdzie potrzeba, zwróci uwagę Rady na naruszenie postanowień Karty Praw Człowieka, które to naruszenie mogłoby wymagać czynnej akcji ze strony Rady Zjednoczonych Narodów.

Prawa jednostek i organizacji zwracania się do Komisji w drodze petycyj odnośnie do sprawy przestrzegania postanowień niniejszej Karty — nie będą ograniczone wzgl. naruszone.

MIECZYSLAW JASTRUN

SPOJRZENIE W OCZY

Gdy cię ostatni raz widziałem, we łzach
Była twarz twoja, jak poryty kamień,
I była z deszczu i dymu spleźła
Zasłona nad ruinami.

W oczach twych oczy niegdyś kochanej ujrzałem,
Wielkie, przejrzyste i niewzajemne —
A potem noce, jasne od wystrzałów,
Od klęski ciemne.

O, lata nieszczęść w Warszawie, szerniałej jak śmierci dworzec,
Skąd odjeżdżały skrzynie żelazne skazańców,
Pustko domów, wmurowanych w grozę,
Ciszo okien, okutych w łańcuch.

Goryczy pełne usta, pusty dźwięk pochwały.
Wygnańcem byłem w ojczyźnie. A jednak
Nie zapomnę o nocach, które pociski wroga rozrywały
Nade mną, nad tobą, o biedna!

Gdybym mógł kurz krwawych gościńców zmyć
Z rąk twoich, nędzą i nieszczęściem
Stwardniałych, zanim wstaniesz nowa,
By żyć —

Od ciebie przecież mam te słowa,
Tak nieraz cieszy się twój syn,
Gdy z młodą narzeczoną pierścień
Zamieni w jakąś noc majową,
Kiedy słowiki spite szczęściem
I księżyc kładzie się podkową
Na niskim progu twym.

W maju 1944 r.

IRENA TUWIM

W I D Z E N I E

Owego ostatniego lata, dusznego od upałów, ciężkiego od nabrzmiałych, kłębiastych chmur zwisających nisko nad miastem, w naszym warszawskim mieszkaniu często padało słowo *w i d z e n i e*.

Mówiło się, że może już czas, aby odbyło się *widzenie*, że sprawy już do tego dojrzały. Mówiło się, że dopiero po *widzeniu* można będzie postanowić co robić dalej i jaki wpływ będzie miało *widzenie* na chorą. Coraz częściej przychodziły listy z pieczętką „Stacja klimatyczna w O.”, listy otwierane lodowatymi ze zdenerwowania palcami i nieznosnym dygotem serca. Doktor „znawca dusz”, jak sam mówił o sobie w kawiarnianym gronie przyjaciół-artystów, pisał z dobroliwością mędrca i z atencją:

„Stan naszej kochanej chorej jest raczej nierówny. Stosujemy w dalszym ciągu zastrzyki. Objawy maniakalne występują nadal. Waga w ostatnim tygodniu nie spadła, ale i nie podniosła się, sen uległ nieznacznej poprawie. Jednakowoż jestem zdania, że widzenie byłoby jeszcze niewskazane”.

Albo kiedy indziej:

„Nasza kochana chora wciąż cierpi na bezsenność, ale jest spokojniejsza. Dużo spaceruje po parku. Waga jednakowa, apetyt mierny. Objawy maniakalne występują nadal. Na wspomnienie o Pani ożywia się, ale na krótko. Na wspomnienie o synu wpada w niepokój. Jednakowoż reaguje, co zapisać należy na plus. Kto wie czy w najbliższej przyszłości nie zaryzykujemy widzenia”.

To znów w jakiś czas potem:

„Nasza pacjentka ma okres jakby trochę spokojniejszy. Faza podniecenia powoli mija. Dopomina się o pisma i gazety, które czyta jej Siostra Anna. Nie wyciągamy jednak z tego objawu zbyt pochopnych wniosków. W danym wypadku nie oznacza to jeszcze zainteresowania się życiem. Wiadomości z gazet są raczej pożywką dla jej obsesji. Chciałaby w nich znaleźć potwierdzenie dla swych urojeń. W rozmowach ze mną skarży się, że ukrywamy przed nią te gazety, w których rzekomo podane są złe wiadomości o rodzinie. Listy, które nadchodzą od państwa, są, jak twierdzi, „pisane przez kogo innego”. W tym stanie rzeczy widzenie nie dałoby żadnych pozytywnych wyników dla przebiegu samej choroby. Bałbym się szoku, który ze względu na wiek i stan ogólny naszej kochanej pacjentki mógłby się stać niebezpieczny i oplakany w skutkach.”

Aż kiedyś, pod koniec sierpnia:

„Stan naszej chorej uległ pewnej, nieznaczej wprowadzie, lecz jakby stabilnej poprawie. O ile to pani dogadza, oznaczyłbym widzenie na najbliższy wtorek, na 10.30. Lekarz dyżurny i pielęgniarka będą po-
wiedzieli”.

Na wyznaczony dzień czekałam z niepokojem od lat już niedoznanym. Wróciła nieznosna, wiosenna udręka lat szkolnych, okres zbliżających się egzaminów ustnych, do których było się źle przygotowanym: lękliwa niepewność, uczucie zimnej pustki w mózgu, nieodwołalność groźnych decyzji, spraw przez kogoś już z góry postanowionych. Więc nic już więcej tylko determinacja. Niech będzie już najgorsze, tylko niech się nareszcie stanie.

I przyszło jakieś przebudzenie się o zbyt wczesnej godzinie, postanowienie „trzymania się”, jakaś nieudolna próba generalna przywitania (po dwuletnim niemal niewidzeniu), ba, nawet plan pewnego uśmiechu, który miał wyrażać optymizm i pogodę, owego wyświechtanego uśmiechu, który każdy z nas ma w zanadrzu dla ciężko i beznadziejnie chorych.

Gdy wychodziłam z domu dość wczesnym rankiem, gdy pierzchła nieuświadomiona, mętna nadzieja, że w ostatniej chwili zadzwoni telefon *stamtąd*, że widzenie należy odłożyć — ogarnęło mnie uczucie skazańca, który *już* jest spokojny, który przeszedł już na tamtą stronę. Przede mną była sama już tylko technika udania się do miejsca w którym widzenie miało się odbyć.

Autobus zatrzymywał się w centrum miasteczka O., skąd do dzielnicy uzdrowskiej był z kwadrans drogi pieszo. Pamiętałam tę okolicę jak przez mgłę z dawnych lat dzieciństwa, gdyśmy tu obydwie z matką odwiedzały parę razy kogoś chorego na płuca w miejscowym sanatorium. Szło się przez piachy, brzegiem jakiegoś wymięzionego, sosnowego lasu i w pewnym miejscu, po prawej stronie drogi, zaczynały stę otoczone wysokim murem, rozległe terytoria zakładu dla obłąkanych.

W pewnym miejscu mur przechodził w drucianą siatkę. Jak coś bardzo żywego i niezapomnianego nigdy miałam w pamięci jakiś dreszczyk dziecięcej, lubieżnej niemal ciekawości na widok pewnej wariatki, stojącej w pełnym słońcu na polanie parku. Jej pretensjonalny kapelusik kokietki, koronkowa parasolka i blade-lila suknia, spod której wylażyły bezwstydnie długie majtki, obszyte falbaną—wszystko to było czymś dużo bardziej atrakcyjnym niż teatr czy cyrk. Po tamtej stronie siatki, jak na scenie, rozgrywało się widowisko z jaskrawą aktorką, sunącą drobnym kroczeniem precyzyjnie, w białych tenisowych pantoflach i unoszącą z udaną gracją fałdy sukni—a po tej, po naszej, była widownia. Zatrzymałam się jak przed kłatką w zoologicznym ogrodzie. Matka, nie oglądając się, szła naprzód. Wariatka spostrzegła mnie i podeszła aż pod samą siatkę. Mamrotała coś do siebie przez chwilę i w pewnym momencie zaczęła mi wygrażać, wymachując parasolką i tupać gniewnie. Ogarnął mnie wówczas nie dający się opisać strach, który już został na zawsze, strach przed *innością* tamtej, wykrzykującej bez sensu, beznadziejność porozumienia się z nią. Pojęłam wtedy jak groźne byłoby zetknięcie się z tym dziwnym stworem w kapelusiku. Dygocąca i blade dobiegłam Matki, która widząc moje przerażenie, nauczyła mnie, że nie należy przypatrywać się obłąkanym, że to są nieszczęśliwi, wobec których najlepiej udawać, że się ich nie dostrzega. Odtąd omijałam wariatów z daleka i na ich widok nie mogłam pozbyć się chłodnego dreszczu strachu.

Tego dnia, idąc wzdłuż ogrodzenia szpitala, w poczuciu, że oto za chwilę trzeba będzie stanąć oko w oko z tą, która kiedyś pouczała mnie jak zachować się wobec „tych nieszczęśliwych” — nie mogłam oprzeć się myśli o niedostrzegalności narastania spraw. Ile chwil upłynęło od tamtej chwili! Ile narosło spraw, jakie złożyły się na to, że dziś *nas* dzieli ten mur chyba już nie do przebycia. I kiedy, w jakim momencie błysnął w Matce pierwszy ognik choroby?

Z okna dyżurki przy bramie wyjrzała senna twarz portiera. Dowiedziałam się, że nie był to dzień przyjęć i po długich tłumaczeniach udało mi się przekonać portiera, że mam wyznaczoną przez doktora X. godzinę na widzenie z pewną chorą.

Urzędniczka za biurkiem w kancelarii kazała mi czekać, gdyż właśnie lekarze mieli „obchód” chorych i dr. X. był narazie nieosiągalny. Przez otwarte okna szedł żar letniego południa i rozgrzany zapach sosen. W nieruchomej ciszy, z głębi szpitalnego ogrodu dochodził przeciągły, jednostajny krzyk. Krzyk był o dwóch krótkich, niskich, szybko po sobie idących, jednakowych tonach, po których następował jeden długi, przeciągły, rozdzierający. Brzmiał jak wyczczona melodia i powtarzany był za każdym razem identycznie, z precyzyjną dokładnością. Potężnym echem rozlegał się w powietrzu i brzmiał tu, wśród drzew parku jak głos leśnego zwierzęcia.

— To na piątym robią się zabiegi — wyjaśniła mnie rzeczowo urzędniczka i spojrzała na zegarek. — Doktor X. powinien być wolny lada chwila.

Czas dłużył się nieznacznie. Czekanie stawało się coraz bardziej męczące, dygot serca coraz bardziej dokuczliwy. Postanowienie o „zachowaniu się” wobec chorej, poszło w niepamięć, odpadło. To, co miało nadejść nieuchronnie lada chwila, pozostawione było własnemu biegowi. Co chwila dzwonił telefon, co chwila z hałasem otwierały się szklane drzwi i ktoś wpadał do kancelarii z jakąś pilną sprawą. Byli to dostawcy, służba szpitalna, gospodynie, pielęgniarki, młodzi lekarze. To, co wydało mi się uderzające i nienaturalne, to fakt, że wszyscy ci ludzie pełni byli życia, w świetnych humorach, jakby to, co działo się w pięciu pawilonach, w pięciu domach męki, porozrzucanych po parku, nie dochodziło do ich świadomości lub było im najzupełniej obojętne. Wyglądało to, jakby udręka i groza, które odbywały się za tymi murami, nie tylko nie zostawiały na tych ludziach żadnego śladu, ale przez kontrast i świadomość własnej inności wywoływały w nich reakcję wręcz odmienną. Tutaj się żartowało, śmiało i uśmiechało. Pielęgniarki, prawie wszystkie młode i wesole, patrzyły zalotnie w oczy młodym lekarzom w białych kitlach. Lekarze przychodzili tu na papierosa, na pogawędkę. Wracali tutaj, z tamtego świata, jak z innej planety.

W pewnej chwili zadzwonił telefon i urzędniczka za biurkiem podniosła słuchawkę. Dała mi znak oczyma, że ktoś dzwoni w mojej sprawie.

— Chora z pielęgniarką za chwilę schodzą na dół. Niech pani będzie łaskawa pójść boczną aleją wzdłuż parkanu — powiedziała — tam się panie spotkacie.

W parku o tej porze nie było prawie nikogo. Poszłam wskazaną drogą, oglądając się co chwila za siebie skąd miały nadejść. Gdy byłam już dość daleko, tam prawie, gdzie ceglany mur przechodził w siatkę drucianą, zawróciłam i zaczęłam iść z powrotem. Na zakręcie, w miejscu, gdzie droga zbiegała się z jedną z bocznych ścieżek, ukazały się dwie sylwetki: jedna wysoka, ciemna i druga mała, w bieli. Szły ku mnie. Matka wydała mi się jakby wyższa niż była przedtem, chuda, sztywna, surowa, o rysach wyostrzonych, ustach zaciętych, jak postać z El Greca. Była już zupełnie siwa, lecz jakiś nowy wyraz twarzy i chód jej, dziwnie szybki, niezgodny niejako z jej wiekiem, sprawiały, że nie wyglądała starzej niż oczekiwałam, ale *inaczej*. Była inna, nowa, do dawnej siebie podobna tylko jakimś mocno zaakcentowanym podobieństwem rodzinnym. Wyglądała jak stare fotografie babki, jak przemieszane w pamięci dziecinne wspomnienia twarzy zmarłych jej braci i sióstr.

Gdy podeszłam do niej, by ją objąć w przypływie jakiegoś bezsensownego optymizmu, że przecież może stać się cud, nagły cud ozdrowienia chorej, zmroził mnie natychmiast jej wzrok. Spojrzała mi w oczy chłodno i przelotnie, jak obca. I czego nigdy nie zapomnę to tego, że *nie uśmiechnęła się*.

Dała się objąć i pocałować, lecz sama nie uczyniła najbliższego gestu przywitania. Sztywna i nieruchoma poddała się memu objęciu.

Młoda pielęgniarka, nieładna, o piwnych, dobrych oczach, uśmiechając się pocziwie, jakby w poczuciu odpowiedzialności za to, by wszystko „wyszło dobrze”, przemówiła do niej z łagodną wymówką, jak do dziecka:

— A, fe! Tak się pani wita z córką? Nieładnie. No widzi pani, córka jest, żyje, dobrze wygląda, przyjechała do nas. — Po czym dodała, zwracając się do mnie: — Mamusia tak się spieszyła, żeby panią zobaczyć, że nie chciała dokończyć śniadania, a teraz...

Szłyśmy teraz powoli we trzy, obydwie z pielęgniarką trzymając ją pod rękę. Matka miarowo poruszała ustami, jakby szepcząc do siebie. Zdawała się być zajęta jakąś myślą, marszczyła brwi jakby usiłując sobie coś przypomnieć, na moją obecność najwyraźniej nie zwracając uwagi. Ale nie to nawet było straszne, nie to było obce i niepojęte, tylko jej wzrok rzucony na mnie z ukosa, spod rzęs, ukradkiem, wzrok jakim agent policji niespodzianie obrzuca oskarżonego. Straszna była nagłość tego spojrzenia i raptowne przejście do poprzedniego stanu.

Siostra Anna w dalszym ciągu starała się nadać naszemu widzeniu charakter „towarzyski”, usiłowała najwidoczniej „poprowadzić rozmowę”. Pytała mnie o podróż, o autobus, o godzinę odjazdu. Trzeba było, czułyśmy to obydwie, wytworzyć dokoła chorej atmosferę spraw codziennych, zwyczajnych, zaprzątnąć ją tym, co działo się wśród ludzi zdrowych, poza obrębem tego ponurego parku. Zmieszanie i strach kazały mi mówić dużo, szybko, bez wytchnienia, z jakimś sztucznym podnieceniem i nader wyczerpująco o tym, że autobus był przepełniony, że szosa jest świetna aż do S. a od S. zaczynają się piachy, że można również z Warszawy jechać pociągami z Dworca Wschodniego, że powietrze jest tu cudowne i ozdrowiające, że cisza i spokój, że pięknie utrzymane klomby...

Chora, wciąż nie patrząc na mnie, słuchała już teraz moich słów z uwagą, lecz na ustach jej przewijał się uśmiešek ni to ironii ni to łagodnego pობлаżania, jakby dając mi tym do zrozumienia, że mówię o rzeczach błahych, niepotrzebnych.

— Pójdziemy na górę, dobrze? — zaproponowała Siostra Anna — zobaczysz pani nasz pokój.

* * *

Na dole, w przedsionku Pawilonu Trzeciego huczało jak w ulu. Od progu uderzył mnie jakiś, mdlący, nieznosny zaduch mieszaniny stłoczonych ludzkich ciał i ostrych środków dezynfekcyjnych. Owo lepkie, obmierzłe powietrze było czymś daleko gorszym i bardziej narzucającym się niż wrzawa. Trzeba było za wszelką cenę przedrzeć się przez ten zaduch, pozbyć się jak najszybciej jednego i drugiego.

Siostra Anna torowała nam drogę wśród chorych, które snuły się pojedynczo lub stały grupkami. Jakaś niska, siwa, w białiznie, uśmiechnięta głupkowato, chwyciła mnie nagle za ramię i spytała:

— Pani jest pani Biernacka?

Nie czekając odpowiedzi, odwróciła się i zadała to samo pytanie komuś innemu, stojącemu obok. I znów komu innemu i znów jeszcze komuś — Jakaś inna, z ostrzyżoną krótko siwą głową, w szpitalnym chałacie, podeszła ku nam i mówiła płaczliwie:

— Kochaneńki, oni mnie tu zamknęli. Ja zdrowa. Jak Boga kocham zdrowa. Ja sklep miałam na Nowogrodzkiej. Paniusiu — złożyła ręce błagalnie — ja tu mam list do córki, na Nowogrodzkiej 13. Tam jest sklep od frontu, pani odda, ja proszę...

Jeszcze inna znów, wysoka, dryblasta, mocno upudrowana, z gorejącymi, niebieskimi oczami w twarzy upiora, przedzierała się z drugiego końca hallu i wyrwywając się lekarzowi i siostrze, wygrażając pięścią, wykrzykiwała w naszą stronę tubalnym głosem:

— Tu nie teatr, tu nie kino! Tu jest szpital! Tu się umiera! Zrozumiaino? Won!

Matka szła teraz pośpiesznie, przedzierając się przez tłum chorych, które zalegały przedsionek i schody. Idąc, odsuwała dłoń cisnącą się wokół nas obłąkane i mówiła łagodnie, zwyczajnie i stanowczo, jak mówi się do zgrai natrętnych żebraków:

— Odejdźcie, odejdźcie, dajcież przejść.

Na czole i na górnej wardze wystąpiły jej kropelki potu. Czuło się, że w tej chwili nadludzkim wysiłkiem woli wydobywa ze siebie jakieś tam resztki siebie-dawnej, że tym gestem i tymi paru słowami zaznacza fakt, że sama nie należy do tego tłumu, że jest tu jakaś inna, nie tutejsza, nie zepchnięta w ten wspólny dół, skąd nie ma już wyjścia. Wstydzila się tego swojego nieszczęścia, to było widać, i ten wstyd boleśnie kołatał się w niej na dnie.

Dobrnęliśmy wreszcie na pierwsze piętro, gdzie na obie strony od szerokiego korytarza, po którym przechadzały się chore, były pojedyncze pokoje pacjentek.

— To tu — powiedziała Siostra Anna, idąc pierwsza i otwierając drzwi.

— Mamy tu ładny pokój, słoneczny, ciepły, cichy — — —

Surowość tego pokoju, jego szarość i kraty w oknach które czyniły go podobnym raczej do celi więziennej, natychmiast przekreśliły we mnie resztki nadziei, że mógłby stąd jeszcze istnieć dla Matki powrót do tego, co było. Ach, więc to tu mieszkała teraz Matka! Od dwóch blisko lat to był jej adres, którego nie miała już zmienić, to było jej mieszkanie, to było właściwie wszystko, co zostało z naszego rodzinnego domu.

Siostra Anna z łagodną słodyczą ułożyła Matkę na łóżku, do którego podsunęła mi krzeselko i w dalszym ciągu starała się nawiązywać do życia. Była wyraźnie zażenowana ubóstwem tego otoczenia, z chwilą gdy wtargnęło tutaj coś z innego, uroczego świata, który działał się poza tym domem. Mój jasny, letni kostium, kwiaty na kapeluszu, perfumy — akcesoria, którymi chciałam rozwiać upórczywe twierdzenia Matki o naszym „ubóstwie” — wszystko to obnażało jeszcze bardziej nędzę życia pośród tych czterech gołych ścian. Siostra Anna po kobiecemu zaczęła poprawiać poduszki na łóżku, znajomy mi z domu bury pled na wąskiej ceratowej kanapce, porządkować pisma i gazety na stole.

Na twarzy Matki malowała się tak straszliwa udręka, jej usta zacięte były grymasem tak niewysłowionego bólu, że wszelkie słowa, które mogłyby paść w tej chwili, wydały mi się rażącym nietaktem. Milczałam. Siostra Anna zachowywała się tak, jakby nie dostrzegала niczego. Z zawodowym uśmiechem, jakby przechodząc do porządku dziennego nad tym, co odbywało się koło niej, zapytała mnie o nowe moje mieszkanie.

Zdezorientowana, ze sztucznym ożywieniem, znowu zaczęłam opowiadać o wyjątkowych jego zaletach: o szklanych drzwiach i oknach biegnących wzdłuż całych ścian, o widoku z okien na Wisłę i bulwary, o rozkwicie i rozroście Warszawy, która w ciągu ostatnich lat zmieniała się nie do poznania i naraz potok mojej wymowy przerwały słowa chorej:

— Tam się będą działy straszne rzeczy...

— Jakie rzeczy? — spytałśmy jednocześnie z Siostrą Anną. Ona — z udanym zdziwieniem z jakim dorośli często zwracają się do dzieci, a ja z niepokojem, że oto mimo woli dotknęłam zapalnego miejsca jej choroby.

— Stra-szne rze-czy — powtórzyła powoli i dobitnie. — Tam i tu i wszędzie...

— E, co też pani mówi — odezwała się Siostra Anna — Czy to ładnie tak? — ciągnęła łagodnie jak do dziecka. — Zamiast się cieszyć, że córka przyjechała, że ma śliczny dom, pani mówi takie rzeczy... Niedługo pani wyzdrowieje, pojedzie do Warszawy, do dzieci, będą państwo razem...

Matka spojrzała na mnie i ruchem głowy wskazała z politowaniem w stronę Siostry Anny. Z ironicznym uśmiechem ubolewania pokiwała głową.

Lecz ów przelotny uśmiezek szybko zniknął z jej twarzy. Czuło się, że zbliża się przypływ melancholii, że powoli zalewa ją fala bólu i rozpaczy, że to rośnie, rozsadza ją od wewnątrz. Wstała z łóżka, zaczęła szybko chodzić po pokoju, jakby gnana jakąś straszliwą siłą. Tarła bezustannie ręce, jedną o drugą, to znów załamywała dłonie i patrzyła nam w oczy, jakby prosząc o zmiłowanie. Siostra Anna objęła ją wpół i posadziła na łóżku. A ona, tragiczna i siwa, wyszeptwała:

— Tak strasznie ciężko zgrzeszyłam, tak okrutnie zawiniłam. Obraziłam Kościół, obraziłam Państwo...

Milczałam. Siostra Anna czekała najwidoczniej na jakieś moje odezwanie się, na to, że przyjdę jej w sukurs, że będę dublowała jej rolę Pogodnej z Tego Świata. Lecz jakiś twardy opór wewnętrzny nie pozwalał mi wydobyć ze siebie ani słowa. Wiedziałam, że słuszne i właściwe jest zachowanie się Siostry Anny, nie zaś moje milczenie. Może trzeba było zbagatelizować słowa Matki, perswadować jej łagodnie, że nie ma racji, że roi sobie jakieś rzeczy bez sensu, lub po prostu rozmowę skierować na inny temat?

Lecz milcząc, skłaniałam się ku Matce. Nie oddalałam się od niej przynajmniej. Nie przecząc jej, dawałam jej niejako przyzwolenie na to, co mówiła. Gdy wprowadzenie ją z powrotem w świat dawny, zwyczajny, było ponad moje ludzkie siły, nie wolno mi było — czułam to — profanować jej świata, w którym żyła i w którym się już zadomowiła, choć był to świat dręczącej wizji i bezustannego cierpienia. Nie moją było rolę, wszystko jedno — brutalnie czy łagodnie — wrywanie jej z tego świata. Tego zabiegu dokonać mieli lekarze i pielęgniarki. Jakiś ciemny, prymitywny instynkt solidarności wobec Najbliższej kazał mi wejść wraz z nią w jej piekło, nie zostawiać jej tam samej.

Chora mówiła już spokojniej i tonem kogoś, kto się nie waha, kto nie ma żadnych wątpliwości w słuszność swoich słów.

— Wy nic nie wiecie... Ale ja nie mogę mówić wszystkiego. Nie wolno mi rozumiesz — zwróciła się do mnie i położyła palec na ustach. — Ja tę karę muszę odbyć, na to nie ma rady. Ale najważniejsze jest to — ciągnęła — żebyście wy nie mieli przeze mnie przykrości. Gdyby, broń Boże, przyszło co do czego — patrzyła mi w oczy z powagą i skupieniem — to pójdę gdzie trzeba. Pójdę do Pana Prezydenta, pójdę do Pana Marszałka i Pan Prezydent ułaskawi... — zatrzymała się, zawahała — a gdyby nie — — —

Pochyliła głowę nisko, załamała ręce i zanuciła cichutko dawną piosenkę, którą pamiętałam z dzieciństwa:

„Sąd wojenny nie wybacza,
Stary kapral umrzeć musi...”

Twarz Siostry Anny rozjaśniła się uśmiechem.

— No widzi pani, śpiewamy! Więc nie jest tak źle z nami. Bo musi pani wiedzieć, — zwróciła się do mnie — że Mamusia śpiewa mi czasem piosenki i wiersze mówi. A jakże. Już i ja nauczyłam się niektórych. Jak to było? „Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna” i „Za Niemen het precz” i jakie tam jeszcze? Mamusia powiada, że to są staroświeckie piosenki, które śpiewała za dawnych czasów. A dzisiejszych nie lubi. Podziwiam tę pamięć — ciągnęła dalej Siostra Anna — wszystko pamięta (mówiła o obecnej jak się mówi o nieobecnej) — wszystkie daty, rocznice, nazwiska. I tyle wierszy umie na pamięć...

Siostra Anna, mówiąc te słowa, chciała mi najwidoczniej sprawić przyjemność. Patrzyła na mnie przy tym pocziwie swymi brązowymi oczyma, w których było morze dobroci. Tymczasem to, co usłyszałam o wierszach i piosenkach powiększyło tylko górę kamieni, które zaczynały powoli osypywać się w dół. Wiedziałam, że na nic już było udawać, uśmiechać się, starannie dobierać słów.

Zacząłam się żegnać. Matka siedziała nieruchomo na łóżku ze splecionymi na kolanach rękoma. Usta jej poruszały się bezustannie jakby szeptała modlitwę. I tym razem znowu nieruchomo poddała się memu objęciu i kiedym podsunęła jej policzek do pocałowania, uczyniła jakiś sztywny gest zimnymi ustami, gest który miał być pocałunkiem.

Byłam już u drzwi, żegnając się z Siostrą Anną, gdy Matka ruchem dłoni przywołała ją do siebie. Siostra Anna podeszła do łóżka, nachyliła się nad chorą. A ona, patrząc na mnie, zaczęła szeptać jej coś do ucha, jak dziecko, które starszemu zawiera ważny sekret. Trwało to z dobrą chwilę i Siostra Anna zdawała się z początku nie rozumieć o co chodzi.

— Jak? — pytała — że co? żebym poszła?... Aha! — zawołała — rozumiem, wiem, ależ naturalnie. Poproszę tylko na ten czas Siostrę Felicję.

Po czym nacisnęła guzik dzwonka nad łóżkiem i zwróciła się do mnie z uśmiechem:

— Matka mówi, żebym odprowadziła panią aż do samej bramy, *bo pani się boi...*

We drzwiach ukazała się postać w sukniach zakonnych, w kornecie.

— Tylko pamiętaj — zawołała za mną Matka donośnym głosem — tylko pamiętaj, że gdyby przyszli i pytali się, to powiedz, że to nie on, że to ja. Że ja za wszystko odpowiadam, że to nieporozu...

Siostra Felicja zamknęła za nami drzwi.

*

*

*

Był pewien gest, który winna jestem Siostrze Annie. Gest-dług, którego nie spłaciłam i którego już chyba nie spłacę. Był to gest Samarytanki, prawdziwej Siostry Miłosierdzia, gest, który uczyniła, gdyśmy znalazły się za drzwiami ostatniego mieszkania Matki. A wyglądało to tak: lewym ramieniem, jak skrzydłem objęła mnie przez pól, a prawym jak wiosłem, zeglowała w powietrzu, odsuwając łagodnie cisnące się wokoło nas chore.

Musiał być to widok naprawdę niezwykle i teatralny: mała, drobna kostać w szpitalnym fartuchu prowadzi poprzez tłum oblakanych sztywną puklę niczym z wystawy sklepowej, w szarym, nowiutkim kostiumie i w śmiesznym kapelusiku z kwiatami. Kukła jest szara na twarzy, ma białe usta i zagasłe oczy.

Lecz już nadchodzili lekarze: trzy pirandelliczne postaci, trzech magowie w bieli. Już podchodzili, już się witali, już jeden mówił:

— No, no, no, trzymajmy się. Tu nie wolno się rozklejać. Tu nerwy trzeba trzymać — zacisnął rękę w kułak — ot tak, na uwięzi.

— Witam panią — mówił drugi. — Siostro Anno, ile czasu trwało widzenie? Przeszło godzinę? To za długo — — —

— Niech się pani nie boi, na Boga — uspakajał trzeci — zapewniam panią, że nic się tu pani nie stanie, to wszystko spokojne chore. Niech pani zaczeka na mnie na dole, mam auto, podwieżę panią, to pogadamy.

Byłam już teraz spokojną, bardzo spokojną, ale tym dętym, nieżywym spokojem jaki ogarnia, gdy stało się już najgorsze, gdy wszystko jest już wiadome, wyraźne, nieodwołalne.

Zamknęły się za nami drzwi wejściowe Pawilonu Trzeciego. Szłyśmy powoli drogą wiodącą ku głównej bramie szpitalnej, tą samą którą przysłałam. Pachniały sosny, rozgrzane upałem. W słońcu, rdzawo i czerwono pałały dale i georginie, żwir skrzypiał pod nogami. Z daleka, z głębi parku dochodził szczęk nakryć i talerzy. W kuchni szpitalnej przygotowywano obiad. W parku było pusto.

Siostra Anna wciąż trzymała mnie przez pól, jakby chciała mnie uchronić od nieistniejących lecz możliwych ciosów. Gestem tym wypełniała sumiennie i aż do końca wolę Matki, która pamiętała mój dawny, dziecienny lęk przed „wariatami”.

Z daleka szybkim krokiem nadchodził doktor. Widziałem jak w pośpiechu, idąc, nakładał płaszcz.

— Niech pani będzie spokojna, zupełnie spokojna — były to ostatnie słowa Siostry Anny. Miała przy tym uśmiechnięte usta i siłące się na uśmiech oczy. I gdy auto ruszyło, gdy obejrzałam się w chwilę potem poza siebie, by skinąć ręką stojącej wciąż przy bramie na pożegnanie — widziałam tylko jej oczy, nic więcej tylko ogromne oczy patrzące za nami, odjeżdżającymi z dziecinną powagą.

Inną drogą wracałam z powrotem do domu. Samochód doktora okrążył prawie dokoła całe terytorium zakładu, by wyjechać na drogę, którą miało być najbliżej do Warszawy. Jechaliśmy w upale, brzegiem jakiegoś rzadkiego lasu, przez który, jakby kawałkami zbitych lusterek połyskiwała w słońcu Wisła.

Doktor oparł się na poduszkach, zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i milczał przez jakiś czas. W pewnej chwili powiedział:

— Doskonale rozumiem jakie to wszystko dla pani bolesne i ciężkie. Toteż bardzo, z całego serca jako człowiek prywatny wszystkim państwu współczuję. Ale dla mnie jako dla lekarza i obserwatora, stojącego na uboczu wypadek jest niezmiernie interesujący, powiedziałbym pasjonujący. Wie pani, ciekawe jest codzienne obcowanie z chorą. Interesuje ją wyłącznie wiadomy pani temat. I choć bezpośrednio, gdy jest spokojna, unika go, jednocześnie nie przestaje koło niego krążyć jak ćma wokół świecy. Wszystko co nie jest obiektem jej choroby, przestało dla niej istnieć, odwrotnie, gniewa ją i niecierpliwi. Mamy tu wspaniały, klasyczny obraz tego, co w psychiatrii nazywamy identyfikacją i przeniesieniem. Rozumie pani — mówił z wciąż rosnącym ożywieniem — pacjent utożsamia się z kimś, i całą osobowość owego obiektu przenosi na siebie. W tym wypadku przenosi na siebie przede wszystkim urojoną winę jaką przypisuje osobie, z którą się utożsamia. Dźwiga całe brzemie tej winy.

...Melancholia, widzi pani, należy, niestety, do rzędu tych chorób psychicznych, które choremu nie dają ani chwili wytchnienia. Jest to bezustanna udręka i trwoga, z których nie ma wyjścia. W przeciwieństwie do wielu innych chorych psychicznie, którzy żyją w świecie fantazji i czasami, o, nawet często, potrafią być szczęśliwi — melancholicy przy zachowaniu pełnej przytomności umysłu i pamięci, pogrążeni są w wiecznych mrokach i ciemności. Jest to choroba stara jak świat. Stara i znana. Św. Jan Chryzostom w liście do Olimpii określił ją jako „okrutną torturę duszy”, to według jego słów „robak jadowity pożerający duszę i ciało.” Salomon w swych Przypowieściach nazwał ją chorobą, która „wysusza szpik kostny”. — Chorzy tego typu twierdzą często, że mają zwidy, że rozmawiają z duchami i szatanami, przepowiadają nadejście Antychrysta i bliski koniec świata. Iluż w dziejach było tak zwanych fałszywych proroków! Ilu z nich biczowano i palono na stosach! Dziś, w wieku dwudziestym leczymy ich po zakładach, dajemy im odpowiednie warunki i często osiągamy pomyślne rezultaty...

Jechaliśmy teraz gładką jak lustro szosą, po lewej ręce mając Wisłę, która leniwie toczyła tu swe szare wody. Z daleka, w srebrnawej mgiełce, po tamtej stronie rzeki, widać było Warszawę.

Doktor powiedział jeszcze, jakby na pociechę:

— Stan chorej w ostatnich czasach jakby się nieco ustabilizował. Jest dużo spokojniejsza, nie traci na wadze, trochę sypia. Ale jej lęki weszły na inne, szersze już tory. Jest w ciągłym przeczuciu nadchodzącej katastrofy, która zagraża nie tylko już jej samej i najbliższemu jej otoczeniu, ale całej ludzkości. Jej widzenie świata — — —

* * *

Słowa doktora, echa głosów, błyski spojrzeń, migawki obrazów, doznawane jak w chwili zasypiania. Oto zjawiają się na oka mgnienie i wnet odpływają, gasną, nikną. Zapach rozgrzanego igliwia, gorąco i sypkość nadwiślańskiego piasku, w którym zapadam się idąc *tam*, strzępek żalospny

piosenki Berangera, spojrzenie piwnych oczu Siostry Anny, migotanie Wisły zza drzew, brzęk nakryć z kuchni szpitalnej — to skarby, które zbieram z pasją kolekcjonera, z uporem żebraka. Na próżno silę się wydobyć z pamięci inne, odtworzyć nowe, jeszcze nieodkryte. To były realia, których mam tylko pewną, określoną ilość i nic już do nich, tak mi się zdaje, nie przybędzie.

Ale tu na pomoc przychodzi mi *fantazja*, która usiłuje wypełnić pustkę niewiedzy. Bo przecież tamtego sierpniowego dnia po moim odejściu, w szpitalu musiało być jakieś popołudnie i wieczór i noc i jakiś dzień nazajutrz i dni następne i pierwszy alarm i pierwsze dni wojny. Wszystko to było, było, było, powiedzmy to sobie, i choć nieznane może już dziś nikomu, odbywało się, w życiu Matki liczyło się na minuty, kwadranse, godziny — o Boże — i nie da się już nic z tego ująć, ani odrobić ani zmienić.

Toteż fantazja cwałuje, szaleje. Falą uderza do głowy, jak o brzeg i rozpryskując się, odpływa powoli z powrotem, by za chwilę znów buchnąć ze zdwojoną siłą.

...Po moim wyjściu Matka została z Siostrą Felicją, która nic nie wiedziała o Matce, potem wróciła Siostra Anna, z którą Matka mogła rozmawiać, ponieważ Siostra Anna знаła historię życia i przebieg choroby Matki... A może Matka przez cały już czas, do końca swego życia była z Siostrą Anną? Może nie rozstała się z nią ani na chwilę? Matka przez cały już czas, do końca życia, była ze swoją męką. Jakiegoś dnia zawyły pierwsze syreny i w szpitalu powstała panika. Jakiegoś dnia w szpitalu nie zjawili się kilku lekarzy. Niemcy zabijają chorych umysłowo, rekwirując szpital chorzy uciekają. Siostra Anna bierze Matkę do siebie, musi wyjść z domu, zostawia Matkę samą, wraca do domu z zakrwawioną twarzą (fala fantazji rozbija się i powoli, powoli odpływa), Siostra Anna jest głodna, Siostra Anna ukrywa się, Siostra Anna nie wraca... Matka wzięła tobolek i poszła. Padał śnieg. Dzieci bawiły się na drodze. Dzieci śmiały się. Dzieci przelewały się i zaczęły uciekać. A Matka w chórze, w tłumie idzie — dokąd? Jakże to było miejsce? Nikt nam tego nie powie dokładnie, tylko mniej więcej. Więc najbliższy krzew, krzew najbliższy rosnący *tego miejsca* będzie naszą Ojczyzną.

ZYGMUNT HAUPT

RIGOR MORTIS

Czekałem na nią u wejścia do dworca kolejowego. Był wieczór. Po-nure, rozproszone światło. Tłumy niedzielного wieczoru przewalały się tędy i owędy. Masa mundurów khaki i ciemnogrnatowych marynarzy. To światło skośne i długie, nieskończenie ciągnącego się wczesnego zmroku wieczornego, kiedy chmury jak wykute w szarym granicie wiszą ciężkim sklepieniem nad miastem i widnokregiem.

Czekam na nią. Już przyzwyczaiłem się do tego wyczekiwania. Jest mi pusto i niedobrze wśród tych tłumów i pod tym ciężkim niebem. Mierzi mnie to, że muszę tak wyczekiwać na widoku, zdaje mi się — wraca stare, towarzyszące mi wrażenie surrealisty, że wszyscy patrzą na mnie, mam wrażenie człowieka nagiego albo o jakimś kalectwie, wystawionego przed krytyczne audytorium.

Patrzę na zegar na wieży jakiejś budowli, zatrzymuję się w swym niespokojnym spacerze, pięć kroków wprzód i pięć z powrotem. Przystają koło mnie żołnierze, prostytutki, spacerowicze, ludzie się wymijają i potracają.

W pewnej chwili tu i tam ktoś zatrzymuje się i zadziera niemożliwie głowę do góry, zarażeni tym inni robią to samo. Mam automatyczną chęć zrobienia tego samego, pójsia za tym stadowym impulsem, wydaje mi się to wulgarne, w końcu zaczynam także szukać oczami tego czegoś co jest wypatrywane tak przez przemożną część tłumów. To jest coś, co właściwie trudno określić. Jakiś poszarpany strzep, płachta, zasłona unosząca się i powiewająca w wietrze na zawrotnej wysokości kilkunastu setek stóp. Zwiją się i rozkłada za kaprysem wiatru, który powoli unosi ją w stronę portu i morza. Ponuremu wieczorowi nad miastem nadaje to jeszcze potęgi niesamowitości. Dodaje się to do ponurej i samotnej mojej miłości, którą przepalony i skłócony czekam tu na obcą i obojętną dziewczynę pośród tego tłumu. Wydaje mi się, że to jakiś znak niesamowity, rozwinięty na niebie żeby mnie po raz ostateczny ostrzec.

Może ona czeka w hallu lub lounge'u. Przepycham się przez tourniquet, hall jest jaskrawo oświetlony i tu także dużo ludzi, przeważnie w mundurach. Wychodzą, wchodzą, stoją w przejściach i tam gdzie wejście do windy. Z anglo-amerykańską akurtnością i upodobaniem są poznaczeni i posegregowani. Na rękawach mundurów naszyte, wyhaftowane nazwy krajów i miast skąd pochodzą. New Zealand, Mauritius, Nova Scotia, Trinidad, Tanganyika, Malta, Hertfordshire Fusiliers, Argyll & Sutherland, Jamaica i Nowa Funlandia... Wydaje się, że to, rozsypany album znaczków pocztowych. Ludzie, znaczki pocztowe. Hall hotelowy jak aukcja filatelistyczna.

Nie ma jej tu. Może w lounge'u.

* * *

Siedzę w lounge'u hotelu. Lounge jest okrągły, ze świetlnią kopulastą ponad środkiem, teraz założoną papierem dla zapewnienia warunków blackoutu. Przy stolikach jest mało ludzi. Chodzi niespokojnie tam i z powrotem młodziutki, blondynowaty midshipman, „middy”. Na klapie marynarki ma romby szaroniebieskiego koloru z błyszczącym guzikiem. W końcu doczekał się młodej dziewczyny w uniformie i oboje gdzieś siedli przy bocznym stoliku.

Są jeszcze dwie jakieś starsze panie, śmieszne stare panny, pewnie siostry, bardzo podobne z nijakich rysów twarzy, zgaszonych przez fałdy staropanińskiego tłuszcza. Błyszczą szkła ich okularów kiedy wodzą twarzami za wchodzącymi osobami.

Przeszedł przez lounge jakiś wysoki pan o sztucznej nodze, której mechanizm w jakiś sposób szwankuje bo przy każdym jej kroku słychać niemiły dźwięk, skrzyp stali i sprężyn. Wchodzi jeszcze pani z dwoma chłopcami, pięcio-sześcioletnimi, obaj ubrani w miniaturowe, marynarkowe ubrania dorosłych ludzi. Mają starannie zawiązane krawaty i chustki w górnych kieszeniach marynarek. Są karzelkowaci i komiczni, zwłaszcza przy beczceremonialnym zachowaniu się dzieci.

Przeszedł jeszcze jakiś niski, starszy pan. Widzę go tylko z tyłu, ma rzadkie siwe włosy, zaczesane na bok. Widzę jeszcze w kieszeni jego tweedowej marynarki wystającą książkę. Uśmiecham się na czerwoną okładkę której brzeżek widać spod zielonego papieru, z którego spreparowano dustjacket (lubię książki i interesuje mnie ich tak zwana szata i książkę którą raz miałem w rękę poznam z daleka).

Nie jest to pozbawione komizmu, że właściwie solidna, płócienna okładka jest tak odmiennie, jaskrawo czerwona. Jest to Cecila Robinsona „Awkward Man”. Kiedyś w godzinie nudy ta książka była w zasięgu mojej ręki. Z początku nic mi nie mówiła. Po pierwszych kartkach zacząłem sobie uprzytomniać, że autorem jest publicysta z „Chronicle”, które to pismo w miarę popularne, bardzo rozpowszechniane, o milionach nakładu dziennego, jest w pewnym stopniu brukowcem z pretensjami do poważnego nastroju, o dużym wpływie na szeroką opinię, z pewnymi pretensjami

w kierunku realizmu i sprawiedliwości społecznej, ordynarnie oczywiście schlebujące tym szerokim masom, redagowane śmiało, sensacyjnie i dzięki stosunkom brytyjskim pozwalające sobie na wiele. Artykuły Robinsona są oczekiwane i cenione przez wzwyż wspomnianą opinię. Nawet teraz kiedy ją, tę książkę wspominam, bardzo mgliście powraca mi w pamięci jakiś jeden lub dwa artykuły Robinsona, względnie jakieś reeminiscencje.

Uśmiecham się na tę zieloną okładkę. Uśmiecham się na to co u wstępu daje autor. Będę abstrahował od psychoanalitycznych dygresji jakie nasuwać się od pierwszego faktu jaki podaje autor o jakimś swoim kalectwie, które w sposób taki i taki zaciążyło na początku jego życia i ambicjach. Daje to w rezultacie ładnie zaokrąglony frazes.

Autor potem wtajemnicza nas jak „wstąpił” do Buchmanitów czyli Grupy Oksfordzkiej. Zbieg przyczyn składający się na jego nawrócenie. Zdarzyło mu się w tym kraju prosperity, apogeum ludzkiej organizacji i uwieńczonej zdobyczności, kraju którego Import i Eksport na schematach map statycznych oplata i dławi rozpuchłymi liniami jak ramiona ośmiornicy, gdzie złoto wszechobecne, promieniujące jak rad przez pancerne kasy banków, sprawia indukcyjną atmosferę, w której wszystko jak u króla Midasa zamienia się w złoto — zdarzyło mu się być świadkiem jak ojciec, robotnik niósł na pogrzebanie umarłe ciało dziewczyneczki córki, w usmolonym worku jutowym, w pośrodku milionowego miasta dobrobytu. Zdarzyło mu się być świadkiem, wśród hałd szlaki i marglu, w zakopconym krajobrazie Midlandu, jak tłumy bezrobotnych górników obsiadały amfiteatry tych hałd w widowiskowym audytorium najbardziej interesującego dnia w tygodniu, kiedy kilku strażaków usiłowało odnaleźć w plugawej wodzie fabrycznych ścieków zwłoki samobójcy.

Maniacy Grupy Oksfordzkiej, w swej bezinteresownej spekulacji mistyczno-religijno-ekonomicznej przywołują mi obraz:

Obraz tutaj bardzo dziwny. Pejzaż na który składał się równo ucięty spad wzgórz i płaska dolina Ikwy. Ziemia przesiana była krzemieniami o muszlowym przełomie i była popstrzona nimi jak okiem sięgnąć. Zieleń za to była ta sama wszędzie.

Stacja kolejowa była na zakończeniu linii ślepej. Zbiorowisko przeważnie niskich budynków, pociągniętych olejną farbą w kolorze różu indyjskiego. Dojazd wybrukowany otoczkami, które mają niezgrabne miano „kocich łbów”. Kilka dorożek, typowe faetony z bardzo wysokim siedzeniem. Woźnice jak kręcący się tu i owdzie chłopci i robotnicy mają czapki o stromym daszku, bez podpinki, „furażki” wielkorosyjskie.

Na stacji kilkoro oczekujących na pociąg ludzi, jakieś kobiety z tobołami. Wszyscy zebrani w gromadę perorują nad czymś. Między nimi stoi mężczyzna, obowiązkowo w „furażce”, przepoczonej koszuli pod wypłowiałą marynarką. W rękę trzyma wyslizgany hebel, dalej widać pod budynkiem stacyjnym wióry i jakąś jego stolarską, porzuconą robotę.

Konstatuję ze zdumieniem, że dyskusja jest na temat religijny. Mówią po rusku, po ukraińsku, z dużymi naleciałościami rosyjskimi i miesza się jeszcze do tego starocerkiewny z przytaczanych i cytowanych pasażów z Pisma Świętego.

Razi mnie to bardzo, wydaje mi się, że te pryncypialne bajdurzenia na tematy które są nie do omówienia przez najbardziej wyćwiczone umysły, są haniebną pozą i nie przystają absolutnie do życia, które jest najbardziej związane z materialną stroną bytowania.

Zwłaszcza pryncypialność z jaką wypowiadano chaotyczne sądy, upór maniacki...

Ten świat wyczarowany kolorową okładką książki nadpłynął i nawiedził mnie w mdłym lounge'u hotelowym. Ukazała się w drzwiach dziewczyna, zadyszana i spóźniona i coś tłumaczyła ale nie było czasu i ledwie zdążyliśmy na odjazd pociągu...

* * *

Przed wszystkim jak ona wyglądała? Pierwsze wrażenie jakie wywierała było niebywale sympatyczne, coś przedziwnego w całej postaci, czy raczej półśmiechu, żywości jej wdzięcznej osoby. Była w kolorze, który może mi nie najbardziej odpowiadał. Jasne włosy, biała niezwykle cera, antropologicznego typu blondynowatego, kiedy rumieńce występują czerwono i ceglasto.

Kiedy ją poznałem, było to zdaje się tak, że John wprowadził ją do mojej pracowni, nie zważałem całkiem na nią, była rozlewnie roześmiana i zeszliśmy razem na parter do kuchni studenckiej na obiad. Tu dowiedziałem się od niej, że kiedyś, dwa czy trzy lata temu studiowała tu i widać było po niej, że szalenie jest przejęta chwilowym powrotem do dawnego miejsca i to, że ktoś tak szalenie młody może mieć już wspomnienia i wracać do nich, wzruszyło mnie ponieco bo sam jestem tak wrażliwy na straszliwość czasu i wtedy to zwróciłem na nią baczniejszą uwagę.

Toczyła wzrokiem po sali jadalnej, pełnej młodych dziewcząt, widać że nie wiele zostało z jej dawnych znajomych, ale z chwilą wykrycia kogoś z dawnych czasów jej twarz i tak promienna rozpromieniała się do kwadratu. Nieodczownie wtedy wykonywała dla niej tak charakterystyczny gest powitania i wtedy także zetknąłem się z tym, co u niej było generalnym i niebywale charakterystycznym: gest! Było tak to zauważalne, tak dla niej specjalnie znaczące, że nie omieszkalem jej tego zaraz powiedzieć.

Siedzieliśmy przy stole pokrytym ceratą jadalnianą i mieszałem łyżkami w mdłych i mącznych daniach jadalnianych a ona kręciła się na swoim miejscu i witała się tak młoda ze swoim niedawnym życiem.

Potem wyszliśmy, na korytarzu żegnała się z charakterystyczną dla niej wylewnością i naturalnie, kiwając wdzięcznie na pożegnanie, długim, niedziewczęcym krokiem skierowała się do wyjścia.

Na ten pierwszy raz zapomniałem o niej, jak przez mgłę tylko przypominam sobie jej nakrycie głowy, zakrywające przód głowy, nazywało się to, ten model, „Alaska” i był wtedy w modzie i przypominam sobie że bardzo słusznie, bo miał upodabniać się do traperskich czapek ze skóry żbika, w jakie bohaterowie Kapitana Mayne Raida i Fenimore Coopera stroili się na pocziwych drzeworytach książek, za którymi szalałem kiedy byłem chłopcem. Miała na sobie wtedy krótki, zielony płaszcz i nogi trochę za silne i obóte w tanie, pretensjonalne pantofle. Zaraz potem zapomniałem o niej zupełnie i na śmierć.

W tydzień potem, kiedy wyjeżdżałem już z miasta spotkał mnie John i zaklinał na wszystkie świętości żeby przyjść koniecznie na jakiś wieczór-zabawę czy coś w tym rodzaju do jakiejś dziewczyny i długo sobie przypominałem zanim uprzytomniłem sobie, że chodzi o tę właśnie białoróżową znajomą, poznaną tydzień temu w Art College. Obiecałem mu to i nawet dosyć o tym pamiętałem i kiedy przyjechałem spóźniony to tylko dzięki adresowi i wyrysowanemu planowi, które John wysmarował w moim notesie, trafiłem już całkiem spóźniony na któreś piętro domu przy Duke Street, numeru nie pomnę.

Na moje przywitanie wyszła ona. Z wnętrza bił gwar osób i to działało na mnie nieprzyjemnie, nie lubię nowych osób i włączenia w obce i nieznanne mi towarzystwo.

Ona była ubrana na wieczorowo i stąd wywnioskowałem, że wszyscy wybierają się na jakąś zabawę, co specjalnie nie uradowało mnie. Znałem ten typ zabaw w tym kraju, zabaw które mają w sobie wiele ze sportu, coś w rodzaju krytej hali letniej do ślizgawki. Zapomniałem dodać że poprzednio John, który tak gorliwie zapraszał mnie na tę zabawę, pokazywał mi list czy kartkę tej dziewczyny w którym i moje nazwisko było wymienione a raczej imię, wypisane bardzo poprawnie, co mnie szczególnie ujęło, zawsze jest to bard zo ujmujące jeżeli ktoś zwraca na nas uwagę, pamięta o nas i zależy mu na tym żebyśmy byli tam i tam. To był główny motor który powodował, że nie omieszkalem udać się na Duke Street,

a także to, że w podświadomości chciałem zobaczyć jeszcze raz mgłę kolorów jakie towarzystwo tej dziewczyny dawało ze siebie w emanacji.

Oto i miałem ją tuż przed sobą. Była ta sama, pomimo jakiejś kombinacji wieczorowej sukni, składającej się z długiej, wąskiej spódnicy czarnej i aksamitnej i białej bluzki z jakimiś koronkowymi historiami od pach do szyi. Teraz uderzyło mnie uczesanie jej głowy. Włosy popielatoblonde, zaplecione w długie warkoczki, okręcone wokół głowy, co czyniło jej dużą i tak głowę i dużą twarz jeszcze większymi.

Z jej twarzy patrzyły przymilnie i nieuważnie oczy czarne, błyszczące i blisko osadzone. Wszystkie to razem, to szczegóły, które w swym obojętnym określeniu są raczej dla mnie niesympatyczne, jak na przykład wąsko osadzone oczy, składały się u niej na całość przemiłą i przewdzięcną.

Zostałem zaprowadzony do czegoś w rodzaju salonu i przedstawiony w sposób tak wulgarny i niezobowiązujący, że duży kamień spadł mi z serca, że nie muszę tych wszystkich obcych i najbardziej mi obojętnych panien witać ani dotykać... Wszyscy byli już podchmieleni, włączając w to moich przyjaciół, którzy stanowić muszą osobny rozdział w opisie ich prostackich i szarmanckich manier, przeniesionych do starożytnej Caledonii. Wobec czego załadowaliśmy się do tramwajów, nie! taksówek i wybraliśmy się do jakiejś Plazy czy czegoś w tym rodzaju. Tu miała zacząć się zabawa na całego.

Przeglądałem się dziewczynie i powstawał we mnie dziwny stan, jakieś przekorne uczucie, jakie ma się chwilami bezmyślnego bawienia się drobiazgami, przedzierania skrawków papieru czy liści, nieobowiązującego kreślenia esów-floresów ołówkiem, błędzenia oczami po rozległych horyzontach, których właściwie się nie widzi, typowe stany nieuwagi, nielogiczności, kiedy wydaje się, że właściwie coś za nami za nas pracuje i myśli z napiętą uwagą, a my przyjmujemy rezultaty tego tylko dlatego, że nie jest to obowiązujące, wydaje się to nam czarowne i miłe i jesteśmy pełni nonszalancji, na którą w tej beztroskiej chwili możemy sobie pozwolić.

W sposób nieodgadniony powstawać zaczęła we mnie myśl, tego nie potrafiłbym nawet sformułować słowami, że właściwie mógłbym tę osobę — kochać. Nie przypominam sobie dokładnie kiedy to zaczęło się we mnie budować. Nie potrafię nawet powiedzieć czy to było właśnie tego wieczoru. Myślę nawet, że to było później, może następnego rana, może dzień albo dwa dni później.

Chciałbym odtworzyć ściślej tę paradoksalną ideę jaka we mnie powstawała. Gdyby to ująć słowami to mniej więcej brzmiałoby to tak: „Dlaczego nie miałbym kochać tej dziewczyny? Uwolniłbym się przede wszystkim od całego balastu przeszłości, nazwawszy to swoją pierwszą, prawdziwą miłością, a to wszystko co było to tylko były takie historie, jakie się zawsze przechodzi chronicznie. Sytuacja jest bardzo łatwa. To, że jest wyraźnie wulgarna i naokoło niej wszystko wulgarne, dodaje tylko posmaku egzotycznego całej tej historii. Będzie to przedziwnie zabawne i rozweselające zacząć się po tym wszystkim, w tych warunkach, w tej atmosferze — kochać. Będę siebie widział jeszcze raz w roli Celadona, ze wszystkimi miłymi wzruszeniami, jakie w takiej sytuacji się rodzą, do boleśnie rozkosznego uczucia zazdrości, jakiego zachowanie się tej osoby mi przysporzy.

* * *

Wracaliśmy pociągiem i ja siedząc naprzeciw niej patrzyłem na nią po raz tysięczny i hipnotyzowałem się widokiem jej twarzy jakbym miał widzieć ją po raz ostatni. Wiedziałem, że ona czuje na sobie mój wzrok i pozostawało dla mnie gorzka i jedyną satysfakcją.

Za oknem przedziału śmigał w rytmicznym tętnie przejazdu krajobraz. Czerwone mury zabudowań fabrycznych jak umazane zeszlą krwią, czarne od węgla kratowe słupy urządzeń blokowych i semaforów, skarpy,

zielone trawniki, podwórza osiedli robotniczych z flagparadą porozwieszanych na sznurach, świeżo wypranych sztuk kolorowego materiału, smutnie usiłujące rozweselić ponury krajobraz. Pociąg dudnił w sztolniach tunelów i korytach wykutych w czerwonym kamieniu. Przelatywały mimo stacje z emaliowanymi reklamami i czasem zakolysał się pociąg nad uroczą doliną, obsadzoną buketami drzew, popstrzoną pasącym się stadem owiec. Dzieci w osiedlach ze znużeniem i obowiązkowo powiewały rączkami w stronę nas i maszynista, manewrującego na bocznicy pociągu wychylał się błyszczącą, zatłuszczoną czapką.

W mglistym zwierciadle szyby okiennej, w szczęśliwych przypadkach kiedy przebiegała na bardziej ciemnym tle krajobrazu, widziałem odbicie twarzy dziewczyny i wtedy zdawało się, że patrzy ona uważnie i zdecydowanie na mnie i że jest w tym spojrzeniu coś czego szukam, co straciłem i starałem się oszukać tym złudzeniem i wyobrazić sobie, że tak jest naprawdę i za chwilę uprzytamniałem sobie cały ten trick i byłem nieskończenie zły na nią a potem na siebie.

Mijaliśmy marszaling yardy, brudnoczerwone pudełka wagonów-węglarek z wielkimi napisami O C E A N, WIGAN COLLIERY, NEWCASTLE, i znów O C E A N...

Właściwie przez całą drogą nie wiele mówiliśmy do siebie i w ten sposób przyjechalśmy w ten smutny wieczór do miasta.

Przeszliśmy szybko tłumne ulice i wchodziliśmy milcząco stromymi schodami jej domu. Ona odzyskała swój klimat monotonnego życia i była zamyślona rozbierając się powoli i czasem uśmiechnęła się patrząc ku mnie ale oficjalnie i nieuważnie, jak to ona.

W małym diningroomie siedział John zagłębiany swymi krótkowzrocznymi oczami w jakichś podręcznikach medycznych. Niemile wypadło to spotkanie dla mnie, nie lubiałem go, może dlatego, że był on tak familiarny i ona tak doskonale porozumiewała się z nim i wtedy ich całkiem nie rozumiałem, kiedy mówili do siebie tym własnym językiem. Mama domagała się gorliwie relacji z wycieczki i nakrywała do pośpiesznego obiadu czy kolacji, gromadząc na stole porcelanowe solniczki, sosjerki, talerze, widelce, plecione podstawki pod nakrycia, a ona tymczasem przepadała gdzieś w głębi mieszkania. Zielona papuga Polly dała się uprzykrzenie w swej zaśmieconej odchodami klatce i głuchy i wstrętny dla mnie kot-kastrat idiotycznie zabawiał się niczym na dywanie przed gazowym kominkiem i bezmyślnie wytrzeszczał swoje czerwone oczy albinosa na płomyki gazu.

* * *

Wybrałem się kiedyś z nią do ogrodu botanicznego. To był dosyć stereotypowy program dla wieczorno-sobotnich gości, marynarzy i huzarów z Queens Greys, jakich w myśl nakazów społecznych goszczenia Forces, siłą wyciągały z domów noclegowych YMCA, a ja przypadkowo znalazłem się w ich continuum. Wybrałem się niezbyt nawet ciekawy, raczej przez inercję a także, że przecież czas koło niej czymś trzeba było wypełniać.

Tramwaj zawiózł nas w kierunku północnym miasta i tu przy jakiejś ulicy, najmniej spodziewanej w świecie, normalnej, z bardzo czynszowymi twarzami drugiej kategorii flatów, wysiedliśmy. W luce niezabudowanej między dwiema kamienicami była prosta brama i wiodła droga wysypana żwirem na niedługiej przestrzeni, gdzie wejście przepuszczało mimo portierni i administracyjnych budyneczków do właściwego ogrodu.

Jeszcze kilka słupów z niemożliwą ilością przestrog, zakazów i uwag i znaleźliśmy się w obliczu zielonych trawników parku. Dziewczyna doskonale orientowała się w terenie i skierowała nas przede wszystkim w stronę ogrodów górskich czy kamiennych, jak one nazywają się — „rock gardens.” Tłumaczyła mi obficie, że ma to być największy w świecie

kompleks, że rywalizuje jedynie z nim ogród tokijski i rości sobie do prymatu pierwszeństwo. Że jednak ten jest rzeczywiście największy itd.

Głazy i skały ogrodu wznosiły się na łagodnym garbie wzgórza. Z początku przyzwyczajonemu do soczystości naszych ogrodów, nie kokietyjących i nie wysuszonych obecnością kamieni trudno zdecydować się na pierwszy nawet już nie podziw ale w ogóle na jakikolwiek sąd. Trzeba naprzód przyzwyczaić się do samego faktu istnienia podobnego dziwo-laga. Spotykałem u nas sporadycznie podobne próby ale u nas raczej czuło się w tym trochę snobizmu jakby... jakby, ucieknę się do porównania, jakby w prowadzeniu na smyczy, rzadkiego, rasowego psa. Tutaj jest to po prostu w klimacie. Jest to tu po prostu bardzo naturalne.

Idziemy powoli pod łagodne wzniesienie ścieżką, bardzo schludnie wysypaną żwirem. Kamienie są szare i różowe i pstrokate, ale kolory ich raczej są zneutralizowane. Powietrze pomimo późnej pory wiosennej jest ostre i znakomicie to odpowiada temu ogrodowi górskiemu. Widzę z daleka jakieś barwne kwiaty, wszędzie ostrozielona trawa, rośliny w tym kraju wydają się jednak bardziej zahartowane.

To jest ogród botaniczny, więc naturalnie już pierwsze rośliny, rosnące między szczelinami kamieni są obficie zaopatrzone w etykiety, sztancowane w blasze litery objaśniające nazwy i rodzaje łacińskimi genitivusami. Z jednej strony zadowalnia to mój zmysł mechanicznego poznawania, dając mi na krótki błysk oka satysfakcję jakiejś nazwy, z drugiej strony jest to trochę irytujące, zwłaszcza że ona czyta je z angielska fonetycznie, w sposób okropnie brzmący dla mego nastrojonego na poprawną, klasyczną, kontynentalną melodię słuchu.

Myszę, że nie ma innych ogrodów podobnych do botanicznych. Kompozycja ich będąca przede wszystkim na usługach czystej nauki i pogładowości jest i daje rezultaty, jeżeli chodzi o jakąś sztukę, raczej przypadkowe i na tę przypadkowość nie można się skarżyć.

Jeżeli chodzi o opis tego co się tam widziało, to jest to eksperymentem nienajłatwiejszym. Przecież trzeba przetransponować na słowo coś z innego wymiaru, kształt, barwę i przede wszystkim wrażenie wywołane czymś jak kwiat, liść, splot lub jeżąc się szczotka czerwonych piór, konar, liść, łopuch, kiść kwiatów, jakieś socjalne skupisko nasiennych organów, wszystko obce nam, naszej kinetycznej naturze, owa dostojna potencjalność życia, jaka onieśmiela mnie kiedy kontempluję niemą doskonałość roślin.

Patrzę zdziwiony i nie potrzeba mi zachęt z jej strony kiedy się emocjonuje („isn't it awfully beautiful? lovely!?” itp.). Oto rośnie drobno krajanymi liśćmi, zebranyymi w pęki jakaś niesamowicie srebrna trawa, srebrnoszara, w sąsiedztwie grup kwiatów o niezapomnianym kolorze, a obok ten sam gatunek ale kolor niby ten sam ale znakomicie różny, a obok jeszcze ten sam ale o wspanialszym tonie. Wygląda to jak cennik Windsor & Newton, z całymi stronami prostokąćków, niby tego samego koloru ale każdy o jakiś ułamek niuansu różni się od poprzedniego. I na to trzeba żeby z sąsiedniego żałomu między kamieniami eksplodował krzak kwiatów o kształcie i kolorze tak diametralnie różnym, że wydaje się jakby wydała go na świat inna planeta.

Szliśmy pod drzewami i nagle ogarnął mnie szalony niepokój. Poprosiłem ją zdziwioną i zaskoczoną ażebyśmy sobie poszli stąd i skreśliśmy bocznymi ścieżkami w stronę wyjścia. Nie podniosłem oczu póki bruk nie zastukał pod nogami i nie zaszumił ruch uliczny. Moja towarzysząca wzruszyła ramionami na te moje humory. Nie wiedziała. Nie wiedziała, że samemu trudnoby mi to było ubrać w opowieść. Chociaż to wydawałoby się bardzo nawet zrozumiałe i logiczne. Przecież to był ogród botaniczny.

Bałem się tam, że między zielonymi alejami ogrodu natknę się na obce i ironiczne drzewo jakie rośło, cudzoziemskie i dziwaczne w parku w Z. Nie chciałem tego spotkania.

*

*

Po kolacji John bezceremonialnie zagłębił się w swej pracy i podniósł się dopiero kiedy sięgnąłem machinalnie po jeden z jego podręczników i bezmyślnie zacząłem przewracać kartki książki.

Był to jakiś podręcznik medyczny i kilka pierwszych ilustracji zastanowiło mnie swym tematem i spojrzałem zaraz na tytuł. Było to coś z zakresu medycyny sądowej, „forensic medicine”, dział w którym John specjalizował się na uniwersytecie. Początkowe rozdziały były pod tytułem i na temat Rigor Mortis, spazmu przedśmiertnego. Tu następował cały szereg zdjęć fotograficznych i reprodukcji, wybranych naukowo i pedantycznie, wstrząsających w swej grozie i wyrazie. Pokurczone straszliwie i zastygłe w nienaturalnym bezruchu ofiary wypadków ulicznych, mordu, samosądu.

Jedno zwłaszcza zdjęcie przedstawiające makabryczną kompozycję z wnętrzem pokoju, w którym na podłodze, długi i wyciągnięty, z rewolwerem w zaciśniętej pięści, leży mężczyzna. Kałuża krwi wytaczającej się z rozwalonego mózgu tworzy na szarej reprodukcji jedną czarną plamę, a na drugim planie, w pozycji siedzącej, z głową odchyloną daleko, nienaturalnie w tył, z nogami do środka, piersiami obwisłymi pod bluzką i bezradnym rozłożeniem rąk na kolanach, postać młodej dziewczyny czy kobiety.

Straszliwa tragedia sucho i pedantycznie podana w podręczniku wstrząsa mną jak zanurzenie się w zimnej wodzie. John z perwersją i cynizmem tego medyka przysiadłszy się na poręczy mego krzesła ukazuje mi jakieś inne sprawy zawarte w tej książce, ale ilustracje na temat zachowania się ciał ludzkich po trzymiesięcznym przebywaniu topielca we wodzie, albo charakterystyczne cechy po jakich poznaje się defloracje u nieletnich, nie dochodzą już do mojej świadomości. Palę nerwowo papierosy i słucham nie słysząc głosów innych kiedy tak siedzieliśmy po tej kolacji. Staram się jej nie widzieć i nie słyszeć jej głosu.

Teraz kiedy myślę na temat tego wszystkiego i wtedy, to nagle i wstrząsając mną do głębi wejrzenie poza to, co jest życiem wydawało mi się, przede wszystkim jeżeli przetłumaczyć to na potoczny, „żyjący” język, czymś brutalnym. Ochłaniałem powoli i starałem się opanować i rozsądnie o tym pomyśleć. Więc tak, ja tu żyję, jem, trawię, myślę, spalam kalorie, gorączkuję się i jestem znudzony, zmęczony lub pełen dobrego samopoczucia, przejmuję się tymi sprawami, zaniedbuję tamte, śpię lub bolą mnie zęby, mam ambicje artystyczne lub miałbym apetyt na zjedzenie czegoś, i oto nie ma mnie. Myślę trochę o tym jak młokos, który w czasie studiów przyrodniczych przechodzi normalne burze okresu dojrzewania. Ale to wyjście poza siebie jest wstrząsające. Więc nie ma mnie. Jestem umarły. Cały fizjologiczno-chemiczny zestaw jakim jest mój organizm, przestaje działać, lub raczej zaczyna działać przekształcająco. Cały świat myśli, pragnień, wyobrażenie tego świata które mnie otula i przybiera, wali się w otchłań i przepada. To samo dzieje się z tą moją czy inną miłością i wszystkimi towarzyszczącymi im aspektami.

Patrzę na nią. Zupełnie nieznaczące i mechaniczne zmiany mogą ją w każdej chwili przeobrazić w kupę rozkładającego się białka i związków azotowych. Pewniebym nawet tragiczował i trzymał dłoń wybranej, zinną dłoń, kiedy tęczę pośmiertny jeszcze nie zaczyna działać a potem miałbym długie tygodnie psychologicznej prostracji, a potem miesiące i lata uwarunkowań a potem już znowu, starszy pan, zadurzałbym się kolejno w nierówniejszych ku własnej pseudosatyfakcji i pociesze bliźnich.

Wszystko to napawa mnie niesmakiem. Pewnie muszę już być bardzo rozhisteryzowany. Trzebaby pomyśleć o sporcie.

Kiedy pożegnałem się i siedłem ciemnymi ulicami, zanurzony w blackoucie jak mucha w kałamarzu, jednak zbliżenie i otarcie się przez głupią przypadkowość (mój Boże jak szalenie przypadadek odgrywa rolę w naszym życiu, nawet głupi przypadek), to otarcie się o śmierć ochłodziło mnie

i dało mi trochę nekrofilskiej bezwładności. Więc dlaczego tak jest? Pytałem siebie i nie umiałem znaleźć odpowiedzi. I co na to zrobić? Co robią inni? Usiłowałem sobie to uporządkować. Potem straciłem watek myśli i byłem bardzo rad temu. Wydawało mi się, że tuż, tuż jestem u rozwiązania wszystkich problemów, wszystkich myśli ale bałem się rozczarowania czy też...

Byłem sam.

PAWEŁ HERTZ

SZYMANOWSKI

Nie jak zwierciadło, lecz jak lód
ballada brzegów brzask zamyka
i ptaki odlatują z nut,
całując chłodną skroń muzyka.

Jak szekspirowski śmiech Falstaffa
śmierć błądzi nocą, nierozumna.
Palcami biegnie. Tu katafalk,
muzyki niezamknięta trumna.

I wiatr alpejski dmie. I Grasse
we mgle przedwiośnia zwolna stygnie.
I ty zastygasz. Jeszcze czas
nacisnąć klawisz, tak jak dźwignię.

Choć wiolin śpiewał jak noc długa,
choć trwały basy jak eskorta,
z sopranu szkła stopiona fuga:
okno otwarte jak aorta.

* * *

Niezamieszkały dom etrusków.
Poranek chłodny. Żółty less.
Zastygły ramion bronz i muskuł
drży pod ukluciem łez.

Nie poto podróż była. Modniej
z hiszpańskich nie odjeżdżać plaż.
Co noc zasypiasz, potem co dnia
żałobny kładziesz płaszcz.

My pierwsza miłość ziemi. Trzeba
jak pustych źrenic nocy strzec!
Na niesłychany włosów heban
nie strącaj blasku świec.

Starczy, że grynszpan wykopalisk
dał nieśmiertelną zieleni dniu,
abyśmy razem zastygali
bez śmierci i bez snu.

*

*

*

Tak się zaczyna sztuka. Chłodna
mgła nad wachlarzem nocnych pór.
I lże ma w oku jak niemodna
dziewczyna w boa z strusich piór.

Tak się zaczyna. Gwiazdą spada
i klucz od wąskich daje drzwi.
I oddech, czarny włos i śniada
skóra wśród nocy długiej drży.

Nad tobą zamknąć się. Jak marmur
połyska szafranowy kark.
I wargi dwie, gorzkie pokarmy,
smakować czułym końcem warg.

I drzeć, czekając aż otworzysz
spokojne oko, patrząc w czas.
I tak się, kończy. W pierwszej zorzy,
gdy sen jak morze zmywa nas.

*

*

*

Pod Paryżem, zbudzeni z ogromnego snu,
patrzemy, nieruchomo zastygli w pościeli,
jak się dwie chłodne zorze skradają ku tłu
szafirowego nieba, które świt wybieli.

A tu na wschodzie groza. Tu padają deszcze.
Planetę po planecie gasi ranna pora.
Chciałbym wiedzieć znużony, czy podasz mi jeszcze
twoje spokojne ciało, ostygłe z wieczora.

Tu włosy kędzierzawe mówiły o bitwie,
napięte łuki ramion śpiewały zwycięstwo,
a brew podobna ptakom lub bystrej rybitwie
śpiewa sekret żrenicy i udaje męstwo.

Jak przez znajome ziemie przebiegam rękami
po ciele obnażonem i dotykam blizny.
Nie mam krajów rodzinnych. Paryż jest za nami.
Wyobrażając miłość porzucam ojczyznę.



DO PRZYJACIELA POETY

W burzy zanurzasz ręce, burzą przecierasz oczy,
wichurą się opasziesz, która roznieca płomień —
sam zgaśniesz, ale ślady wypalisz prorocze
w ziemskim ogromie.

Pod stary dach nie wrócisz, cień się tam dawny zwiesza —
i w cieniu tym zatonie cisza tak wierna zawsze,
którą na stół zsyłała głowa Sokratesa
w dnie najlaskawsze.

Lecz kiedyś spojrzysz w burze i w cisze jednako —
gdy ślady swoje zliczysz, zmierzysz jak gdyby cudze.
Wtedy popioły czasów porozrzucasz ptakom,
a zbiorą — ludzie.

Grudzień, 1945.

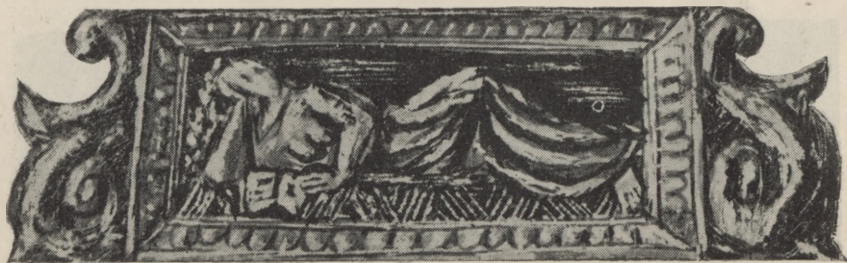
P O W R Ó T

Co zastałeś w swym mieście po długiej rozłące?
Nieruchomy cień zwalisk pod nieczułym słońcem.
Co mający w tym cieniu, w którym grzęzną stopy?
Domy rozdarte ciszą, jak puste okopy —
A pod stopą, tak martwo i tak chwiejnie wspartą?
Dawny ślad na urwanym fragmencie asfaltu.

Wracasz, aby pożegnać ostatecznie. Poco
Szukasz oczu, na których blask się oblókł nocą
I słów, które zamarły. Rzuć im fiolet zimny
Zapomnienia — niech zgasną cicho. A znajdź inne
Blaski, inne spojrzenia zwyczajne, codzienne,
I może bardziej szare, lecz zato mniej zmienne.
I nowe obierz słowa. Cień ślady zarasta.
Już ktoś oburącz chwyta szczerbaty miecz miasta
I niesie go ze sobą naprzód. Wznies powieki:
To nie sny chodzą jezdnią, jak łożyskiem rzeki,
Lecz ludzie. I rękoma, twardymi jak szpadle,
Rzeźbią już nowe ślady na starym widziadle.

Co tak ciąży, gdy myśli wzbierają potokiem?
Serce — przydrożny kamień tej ciężkiej epoki.

Kwiecień, 1945.



Z M I A N Y

CZĘŚĆ 2

I.

Gdy Wojniłowicz podpisywał odwołujące oświadczenie nie wiedział, że podpisuje wyrok na siebie. Niedoświadczony dał się zastraszyć przyjaciółom, a potem jak to zwykle bywa spostrzegł że zrobił źle.

Na jego miejscu zasiadł Pieczarski wprowadzając do zarządu Przyszłości członków Pługa i terroryzując księdza Matusika uchwałami, rezolucjami, żądaniemi. Miał jednak Pieczarski talent i zapobiegliwość organizacyjną, umiał pozyskiwać członków, występować na wiecach i posiedzeniach. Ze Stanisławem nie liczono się więcej, a chwilowo była mu nawet nieprzychylna Danielska. Więc były prezes cofnął się od pracy która go kiedyś interesowała, zwłaszcza że ostatnie tygodnie czerwca kuł do egzaminu.

Została w nim gorycz podpisania nieszczęsnej deklaracji i rosła w miarę jak odsunął się od przyjaciół. Wydawało mu się że każdy wie o sprawie, że czytał jego oświadczenie i zna szczegóły napaści w „Walce Proletariatu”. Trawił w sobie gniew na kolegów i księdza Matusika, próbował uspokoić dumę zadrażnioną, lecz nie mógł pokonać owych mocy. Rosły w nim z siłą i namiętnością, jaką daje tylko ambicja, a przemieniły się powoli w kompleks. Chciał się odegrać, zemścić, pokazać że przecież miał rację on, a nie jego przeciwnicy. Odczuł boleśnie fakt, iż nie wydrukowano mu artykułu, który napisał do akademickiego pisma i że w ogóle potraktowano go lodowato. Ostatecznie zerwał ze wszystkimi, zwłaszcza że zdał egzamin i otrzymał dyplom.

Żał o to jak z nim postąpiono objawił się w ochłodzeniu stosunków z ciotką i jej otoczeniem. Dość późno spostrzegł że Ankiewicz nie jest mu życzliwy, że w ogóle dla nikogo nie jest życzliwy o co miał ostrą sprzeczkę z ciotką.

Na złość trochę, a trochę z przekonania, w miarę jak niezależnie zaczął myśleć, radykalne poglądy społeczne stawały mu się bliskie rozwijając się w jego umyśle konsekwentnie. Opanowała go niecierpliwość by znaleźć dla nich zastosowanie. Krytykował śmiało idąc we wnioskach coraz dalej.

Na wakacje pojechał wraz z ciotką do dworu szambelana Tańskiego w Ostrówce koło Sandomierza. Byli to krewni jego matki, którzy posiadali piękny lecz zaniedbany majątek, a dom prowadzili na skalę wielkopańską, borykając się z długami, podatkami i ratami. Zastał tam grono młodzieży ziemiańskiej które go nudziło, tak że uciekał na wieś między chłopów, chcąc ich poznać i zbliżyć się do nich.

Ci jednak odnosili się do niego nieufnie, jako do pana ze dworu i zbliżyć się do nich nie potrafił. Był przez nich traktowany niechętnie, podejrzliwie a nawet złośliwie. Wyśmiali go raz i drugi parobcy, gdy rozpoczął im wykladać, że uprzemysłowienie kraju rozwiąże nędzę małorolnych, że budowa dróg i kolei zbliży do nich duże miasta, a tym samym da im możliwość zarobku. Nie mógł im wytłumaczyć, że miasta żerują na wsi, nie mógł im wybić z głowy przekonania o konieczności współpracy i współdziałania wszystkich warstw. „Panowie i panowie” — powtarzało się wółko. Pewnego dnia zjawił się Pieczarski i zawiązał sekcję powiatową Pługa. Skrobali się chłopci w głowę i długo z nim radzili, aż wreszcie uradzili, że nie tylko panowie ale i żydzi krew ludu piją.

Stanisław dowiedział się o tym od Pieczarskiego. Spotkał go na rynku w Sandomierzu i dyskutowali o stanowisku księdza Matusika. Pieczarski rozdrapał jeszcze raz ranę Stanisława, stwierdzając że na pracy polityczno-

społecznej znać się może tylko ten kto ma dostęp do mas, a nie kto od tych mas jest odsunięty z tytułu swojej przynależności klasowej czy rasowej. Chłop polski przystępował zdaniem Pieczarskiego do ostatniego etapu walki o swe wyzwolenie bez żadnych idealizmów. Nie potrzebował hasła „z szlachtą polską polski lud”, nie potrzebował pomocy od tych których podejrzewał, że na karkach chłopskich chcą wyjechać i panować. Pieczarski chwalił księdza Matusika za antysemityzm, bo jego zdaniem chłop na wsi musiał się bronić i przed panami i przed żydami. Chłop ma panować w kraju, który do niego należy.

— A marksieści ze swoim ruchem?

— Marksieści tak samo chłopą nienawidzą — powiedział — jak panowie. Komuniści i socjaliści, tak samo chcą chłopą gnębić, wyrzucić go z ziemi, jak panowie posyłają go na emigrację do Ameryki. Chłop musi rządzić, chłop ma prawo rządzić!

Pieczarski rozsiadł się, rozparł, zaczął dowodzić, machał rękami i podniecał się tym co mówił. Wypomniął Stanisławowi, że dla swoich fanaberii wielkopańskich wojował z klechą, zblamował się opaskudzając księdza w żydo-komunistycznej gazecie, a zbłądził do reszty przepraszając potem.

Tu, w szynku małego miasteczka, gdzie pełno było chłopów, co na targ przybyli, czuł się Pieczarski u siebie, czuł się pewniejszy niż gdziekolwiek. Stanisław zaś robił się coraz chmurniejszy aż wreszcie opadło go przygnębienie. Wyszedł przekonany, że całe życie wlec się będzie za nim nieszczęsna sprawa z księdzem Matusikiem, że pracować społecznie i politycznie nie będzie mógł więcej.

Byłby wyjechał do Warszawy wcześniej bo na wsi nie mógł już wysiedzieć, gdyby nie przypadek że spadł z konia i złamał czy nadwreżył zębra. Doktor Kozłowski chirurg, który na stare lata osiadł pod Sandomierzem rzuciwszy wojsko i karierę pułkownika-lekarza, obejrzawszy pacjenta nakazał mu leżeć i naturze zostawić kurację.

— Ot młojec chłopak, w tym wieku gdyby mu nogę odcięto odrosłaby ona jak ogon odrasta jaszczurce.

A że gadać lubił więc siadł przy pacjencie i zabawiał go rozmową. Znał kiedyś doktora Wojniłowicza, stryja Stanisława, znakomitego lekarza i obywatela. Zaczął od wspomnień kijowskich, od Rosji i Ukrainy. Był innym kresowcem od tych jakich Stanisław widywał. Kozłowski stracił podczas rewolucji rosyjskiej dom i rodzinę i wiele wiar młodości, a mimo to zachował entuzjazm dla zjawisk społecznych, o których wygłaszał poglądy różne od na ogół przyjętych.

Był socjal-demokratą, który chciał zarówno wolności ekonomicznej jak politycznej. Opowiadał długo o swej działalności pod caratem, gdy jako młody człowiek wierzył, że Rosja i Polska mogą razem iść, współżyć ze sobą, byle obaliły tyranstwo. Widział świat zjednoczony i wolny, republikański i bez wojen, rządzony rozumem a nie namiętnościami.

— Widziałem ja taki świat kiedyś byłem młody i nie przestałem go widzieć jeszcze, choć rozczarowań wiele przeżyłem.

Na wsi osiadł bo tu miał pole do pracy. Chodził niedbale ubrany, często bez krawata, w wytartym i poplamionym surducie. Mało kto wiedział, że wieczorami zaglądał do kieliszka i że gdy tracił kontrolę nad sobą, wierna gospodyni Hermina przy pomocy Walerego wlokła go do sypialni. Wstydził się swego nałogu. Może prawdziwą przyczyną wyjazdu na prowincję było to, że nie chciał pić na oczach ludzi, a może istotnie ciągnęła go praca społeczna?

Kozłowski pod dobroduszną powierzchownością krył umysł filozofa-przyrodnika, racjonalisty a także trochę scepetyka, który chciałby świat przeobrazić, lecz który wiedział że jeszcze czas na to nie przyszedł. Polska — owa Polska powojenna — była mu obca, bo właściwą jego ojczyzną była Rosja w której się wychował. Rosja liberalnej inteligencji i oświeconego mieszczaństwa. Rosja, która nigdy nie przyszła do głosu.

Było późno gdy Chrobberska weszła do pokoju Stanisława i zapraszając doktora na kolację mimo woli przypomniła mu że się zasiedział. On się wymawiał, tłumaczył że przed nocą musi stanąć w domu, bo ma miłego gościa.

— A kogóż to pan konsyliarz gości u siebie? pytała Chrobberska.

— Młodą panią z Warszawy, pułkownikową Wolańską, która podczas wojny była pierwszą siostrą w moim szpitalu. Zaprosiłem ją na parę tygodni, żeby wzrok i duszę ucieścić.

— I pewno ją pocieszyć w jakimś strapieniu? Wiadomo, że pan, doktorze, przygarnia do siebie tylko takich, którzy potrzebują opieki.

— Kto jej nie potrzebuje, kto? — wśród ukłonów i pożegnań odpowiadał stary lekarz.

Gdy wyszedł rozmawiał o nim Stanisław z ciotką i usłyszał jej krytyczne zdanie. Mówiła:

— Zaczny, zacny człowiek, ale widzisz to ten typ rosyjskiego inteligenta, który przez zbytni liberalizm poglądów doprowadził Rosję do katastrofy. Ludzie jego pokolenia okazali słabość wobec rewolucji, pozwolili rozhułać się bolszewizmowi i doprowadzili do tego czym teraz jesteśmy.

— Jak to my? — zapytał Stanisław nie bardzo rozumiejąc o czym mowa.

— My, to ty i ja, twoja sfera. Tysiące Polaków, którzy od wieków tam siedzieli wygnano z Ukrainy lub wymordowano. Czy nie rozumiesz? Czy ty w ogóle nie wpadłeś ostatnio pod czyjeś złe wpływy?

Stanisław nie odezwał się. Wiedział że z ciotką się nie dogada, że dyskusje z nią nie warte są trudu.

Gdy wstał po chorobie, czując się silny i zdrow pojechał bryczką do Sandomierza, a potem wiślanym wałem do doktora Kozłowskiego, by podziękować mu za opiekę. Zaprzyjaźnił się z lekarzem i obiecał go odwiedzić, obejrzeć jego bibliotekę i szpitalik, który prowadził.

Przejechał most, skręcił na prawo. Dzień był sierpniowy, żniwa na ukończeniu i ziemia pracowicie obrobiona oddawała plony. Szumiały wikliny i krzaki wiślane, na niebie białe chmury przesłaniały słońce, Bryczka jechała cicho po drodze piaszczystej i dochodziło go dzwonienie kos i sierpów, głosy żniwiarzy, brzęk owadów.

Tego samego dnia Janka zapakowała się i przygotowała do wyjazdu. Sześć tygodni spędzonych u doktora Kozłowskiego powróciło jej wewnętrzne siły, których potrzebowała w walce o wolność, jak nazywała swe przejęcia małżeńskie.

Przebieg ich nie był tak prosty jak sobie wyobrażała gdy mąż zapowiedział jej, że oddaje sprawę do adwokata. Spory między nimi przybierały różne nasilenia głównie z jego winy. Po paru dniach mieszkania u Joli, Władzio nagle wrócił do żony błagając by mu przebaczyła, by pozwoliła mu żyć przy sobie lub obok siebie. W chwili słabości zgodziła się na to, dopiero później Zatowska wyjaśniła jej, że Martysikówna kosztowała pułkownika za drogo, a także że rozwód popsulby mu jego karierę. Nie żadne przywiązanie do żony zmuszało go do powrotu, ale zwyczajna męska ambicja, samolubstwo jakiego kobiety nie znają, bo nie mają tych co mężczyźni ambicji.

— On chce zająć wysoko, stawia na politykę i zdaje się ma nosa w tym kierunku. Już tam coś musi być na tym, gdy mój mąż z nim liczy się. Hipolit nigdy nie zabiega o przyjaźń ludzi bez przyszłości.

Janka czuła taką niechęć do Władzia, że współżycie ich było ciągle naprężone. Zamykała się w swoim świecie książek i uczyła się języków do których miała zdolności, ale próby zbliżenia się, przyjaznej rozmowy czy zabawy były z jej strony uniemożliwione. Więć znowu pokryjomu wrócił do spotkań z Jolą, tym razem nie chcąc aby jego romans nabrał rozgłosu. Ale czuł, że Janka wiedziała co się dzieje.

W tym czasie wielkie manewry kawalerii powołały go na miesiąc nad Zbrucz, gdzie miał dowodzić jakąś grupą operacyjną. Reklama w gaze-

tach, którą sztab przygotowywał staranniej niż same manewry, znowu wydobyła nazwisko Wolańskiego. Janka gazet nie czytywała, a przynajmniej udawała że nie interesuje się tym co piszą.

Wkrótce cierpliwość opuściła pułkownika. Skoro wrócił do niej, on bohater wojny i bohater powojennych wspomnień, powinna szczerze pójść na współzycie z nim, darować mu wszystko. Na kilka dni przed wyjazdem „w teren” zapytał ją czy będzie mu towarzyszyć. Janka odmówiła.

— Nie pojedę z tobą i nie licz na to. Zgodziliśmy się w czerwcu, że będziemy żyli własnym życiem, obok siebie, zachowując wszystkie pozory małżeństwa, skoro ci na tym zależy. Ale nie wymagaj niczego więcej. Przynajmniej nie wymagaj teraz. Co będzie w przyszłości nie wiem. Pamiętaj, że wszelka próba tyranizowania mnie nie uda się. Każdej chwili wygram sprawę separacyjną. Zapewnił mnie o tym adwokat.

Tak Janka skazała męża na najcięższą karę niepewności i choć jej także było z tym źle, wołała to niż powziąć stanowczą decyzję.

— Wyjeżdżam niedługo do doktora Kozłowskiego na lato. Zjedziemy się po wakacjach i wtedy postanowimy co robić. Te dwa miesiące rozłąki będą dla mnie i dla ciebie bardzo pożyteczne.

Wolański ustąpił. Był tak zajęty przygotowaniem efektownego marszu na Wiśniowiec, który postanowił niespodzianie „zdobyć” od zachodu, podejrzewając że tam będzie się mieścić sztab „niebieskich”, że zgodził się walkę o swe prawa małżeńskie odłożyć do chwili gdy do swych dawnych laurów przyda jeszcze te, zdobyte na wielkich ćwiczeniach.

Dopiero w pociągu odetchnęła, siedząc samotnie w przedziale. Opanowało ją rozkoszne uczucie wolności i niezależności od środowiska, które rzuciła po tygodniach cugli i panowania nad sobą. Chciało jej się płakać więc zaczęła wyglądać oknem, potem czytała, potem nie bez wewnętrznego przymusu napisała lakoniczną kartkę do męża podając mu swój adres i donosząc, że podróż przeszła jej dobrze. I spełniwszy ten obowiązek postanowiła zapomnieć o swych strapieniach.

Gdy pogodna, uśmiechnięta, w świetnie skrojonym kostiumie, wysiadła na stacji w Sandomierzu wpadła wprost ze stopni wagonu w ramiona Kozłowskiego, który witał ją czule podnosząc do góry, oglądając z bliska, ściskając za ręce. Nie widział jej od ślubu.

— Córeczko moja, wypiękniałaś, dojrzałaś. A zawsze taka ty dobra, zawsze taka pracowita jak byłaś w szpitalu?

— Doktorze, doktorze kochany co pan też ze mną wyprawia. Nie można, przecie ludzie się patrzają.

Tak witali się na małej stacyjce w Nadbrzeźni, a kto by patrzył na nich nie wątpiłby, że to istotnie córka przyjechała do ojca.

Dom do którego zajechała stał na skraju drogi wiodącej ku Sandomierzowi. Obszerny, parterowy budynek wystawiony był kiedyś przez austriacką straż celną. Kozłowski przebudował go, powiększył, otoczył ogrodem, ozdobił kwiatami, oddzielił od drogi drzewami i zamieszkał zajmawszy dwa pokoje a resztę zamieniając na lecznicę dla chorych. Rychło urządził infirmerię i małą salę operacyjną. Pomocnikami jego była Hermina i wiejskie dziewczęta, które wyuczył na zręczne pielęgniarki. Nigdy nie miał więcej chorych w szpitalu niż sześć, siedem osób.

Lubił pomagać ludziom, nie traktował zarobkowo swej pracy. Stąd często chłopci byli nieufni, bo brał od nich mniej niż inni lekarze, a jak który się skarżył na brak pieniędzy to i za darmo leczył. Irytowało to lekarzy okolicznych a i aptekarzy gorszyło bo rozdawał chorym lekarstwa. Nie miał więc Kozłowski życia łatwego na prowincji, gdzie jego działalność była krytykowana, oczerniana, zwłaszcza że rozpoczął wojnę z felczerami i znachorkami, grożąc im aresztem za niedopuszczalne zabiegi.

Przed dom wybiegły psy szczekając i Hermina „panią pułkownikową” zaprowadziła do jej pokoju a potem siedli z doktorem do kolacji w jego

bibliotece. Potem poszła razem z doktorem do szpitala, jak nazywał dwa duże pokoje na końcu domu. Przeszli przez poczekalnię dla chorych, białą izbę z ławami i stołami sosnowymi, przez gabinet lekarski, przez pokój operacyjny i weszli na salę chorych.

Pacjenci rekrutowali się ze sfer chłopskich, żydowskich i robotniczych i tylko dla ludzi którzy zmarliby bez opieki lekarskiej a na leczenie nie mieli, szpitalik był przeznaczony. Utrzymywał go Kozłowski głównie z honorariów płaconych w naturze.

Nie lubił księży i szlachty i wygadywał na nich głośno, krytykował i wojował z nimi na każdym polu. W domach ziemiańskich nie bywał, chyba jako lekarz, tak samo nigdy nie jeździł do kościoła więc nie lubili go ani ziemianie, ani proboszcz. Był radykalny w poglądach politycznych, opowiadał się podczas wyborów za lewicą, a rzadko czynił to taktownie i rozważnie. Nieraz rzucił powiedzenie, które potem, powiększone w Resursie przy kartach, obiegało okolicę dostarczając argumentów jego nieprzyjaciółom. A że pręnumerował rozmaite wydawnictwa i sprowadzał najdziwniejsze książki, więc tematów do plotek o nim nie brakło.

Wieczorem, siedząc przy naftowej lampie gawędził z Janką jak zazwyczaj ludzie osiedli na prowincji, łaknący wiadomości z wielkiego świata. Potem opowiadał jej o sobie, o swojej działalności.

Janka myślała:

— Jakież z niego typ nieskomplikowany mimo że wydaje się przeciwnie. Opisywali takich ludzi na prowincji polskiej i Prus i Orzeszkowa i Żeromski bo znali ich wielu i może częściej bywali w ich czasach. Zawsze wydawały się nam owe charaktery trochę sztuczne, papierowe, nieprawdopodobne w dobroci, w poświęceniu się społecznym, we wzorowości życia.

Mówiąc z nim szczerze o wszystkim, o swoim życiu i przyszłości przede wszystkim, Janka zwierzyła Kozłowskiemu swoje sprawy małżeńskie.

Kozłowski nie zaraz dał jej odpowiedź:

— Widzisz Janeczko droga, ja tu radzić wiele nie mogę. Twój mąż jest inny niż ty, inny także niż ja bym go chciał widzieć. Jeśli go nie kochasz, jeśli jak mówisz nie możesz na niego patrzeć bo tak cię drażni i męczy, musisz go rzucić. A im prędej to uczynisz, tym lepiej dla ciebie i dla niego. Dobrze że dzieci nie macie, bo wam księża łatwiej rozwód dadzą, czy jak oni to nazywają. Ale co ty ze sobą zrobisz?. Daj mi się namyśleć.

Sześć tygodni spędziła Janka u swego starego przyjaciela. Wstawała późno, jeździła z nim na wizyty, pomagała przy operacjach, a wieczorami chodziła z nim na spacer i czytała książki z jego biblioteki. Nie pozwalała mu pić i zawała ciche przysmierz z Herminą. Ta dbała o nią, przynosiła jej do łóżka pachnącą kawę na tacy pełnej przystawek, prała i prasowała dla niej. Czas przebiegał szybko, pogodnie, a dysputy jakie Janka toczyła z doktorem dawały jej uspokojenie. Opaliła się, wypiękniła, tak że powszechnie zwracała uwagę jej uroda. Gdy na przedstawienie amatorskie w Sandomierzu pojechała razem z Kozłowskim, przypatrywali się jej wszyscy i długo plotkowano o szykownej warszawiance.

Dyskusje jakie z nim toczyła przypominały jej lata kształcenia przez ojca. Tak jak ojciec Janki i Kozłowski był przyrodnikiem, a wiedzę przyrodniczą łączył z przekonaniami społecznymi. Pod jego wpływem Janka uwierzyła, że historia i nauki humanistyczne, że sztuka, literatura, muzyka są tylko ozdobą życia na które pozwolić sobie mogą narody i społeczeństwa bogate, bezpieczne, zagospodarowane.

— Widzisz dziecko kochane, ja pozytywnie patrzę na świat a nie romantycznie. Daleki ja jestem od potępienia ideałów czy artystów, ale nie oni mogą świat przebudowywać, bo oni nic nie wiedzą o prawach przyrody i mechanizmie, który nas powołał do życia. Wiedza ludzka nie zna dzisiaj granic produkcji, nie będzie ich znała w przyszłości. Może ją świat obróci na złe albo na dobre. Obróci na złe, będą coraz krwawsze

wojny, a raczej powszechne rzezie. Obróci na dobre przyjdzie dobrobyt.

Wódka szumiała mu w głowie gdy raz do późna zabawiał się dyskusją. Stwierdził najpierw, że jest starym gratem, który już mało znaczy i mało jest potrzebny, rozczył się nad sobą i niemal że się popłakał, wspominając młodość i ówczesne nadzieje. Aż wreszcie skończył i Janka zapamiętała to jego twierdzenie:

— Dlaczego ja tu na głuchej prowincji osiadł, rzucił miasto, samotny żyję? Bo z Polakami się nie dogadam, za dużo u nich czadu historii. Gdzie się ruszysz historia i historia, jak zły dramat narzuca się. W szkole, na Uniwersytetach, w polityce, w handlu wszędzie wspomnienia historyczne i argumenty stamtąd czerpane czadzą ludziom w głowach. Wojnę Polacy w dwudziestym roku zaczęli historycznymi kierując się wspominkami. Oj zapłaci biedny naród kiedyś za tę historię, oj zapłaci!

Janke irytowało trochę, że Kozłowski nie utożsamia się z Polakami, ale mówi o nich jak o obcych. Czyżby on sam nie był Polakiem? Wręcz zagadnęła go o to.

— Ja jestem Polak, ale inny, inny niż inni. Inaczej ja na świat patrzę i nie rozumiem miłości ojczyzny bez miłości świata. Miejsca dla takich jak ja nie ma.

Nie zawsze mogła się z nim porozumieć, gdy atakował wiele jej wiar i świętych, jak wierzyła uczuć. Posprzeczła się z nim o Sienkiewicza i to tak ostro, że aż rumieńce na jej policzkach zapłonęły.

— Niech doktor tak nie atakuje Sienkiewicza. Gdyby nie on tysiące Polaków byłyby stracone dla Polski, pokolenie całe zagubiłoby swe przekonania, straciłoby wiarę w przyszłość. Inne narody też są nacjonalistyczne, my nie możemy stać się inni, jacyś bezbarwni, zimni jak ryby, nie wierzący w nic, nie znający naszej przyszłości...

Jakoś w sierpniu otrzymała długi list od męża. Opisywał w nim dokładnie manewry w których odegrał wybitną rolę „zaskoczywszy” sztab dywizji „przeciwnika” w Wiśniowcu razem z korespondentami zagranicznymi, którzy nie mając o czym pisać chętnie przybyli do Polski na wakacje. Opisywał wielką ucztę na której posadzono go wysoko, chwalono i toastowano na jego cześć, obiecując mu rychły awans i nowe zaszczyty. Chwalił się przed żoną, chciał jej zaimponować, a tymczasem wzbudził u niej jeszcze większą niechęć, bo listem swym burzył spokój jaki osiągnęła, przypomniawszy jej życie do którego wrócić nie chciała.

— Tego wieczoru znowu naradzała się z Kozłowskim natarczywie pytając go o radę. Rozejść się czy się nie rozejść?

— Nie powiem ci, nie powiem, bo ty sama musisz rozstrzygnąć w twoim sercu. Jeśli nie jesteś szczęśliwa mieszkając z nim czy obok niego, to wyjedź. Masz swoje pieniądze po matce, niewielkie lecz przecie wystraczające na niezależność. Studiuj, zapisz się na Uniwersytet. Nie w Warszawie jednak.

I tak wśród rozmów z Kozłowskim Janka nabrała przekonania, że studia uniwersyteckie są jej marzeniem, że zawsze były jej marzeniem, że za wcześniej wyszła za mąż i że teraz gdy pożycie jej z mężem nie udało się, wyjedzie od niego za jego zgodą czy bez jego zgody i będzie studiować, uzyska dyplom, niezawisłość.

Przez czas pobytu na wsi Janka stykała się z nowymi ludźmi, którzy stanowili koło znajomych Kozłowskiego. Pewnego wieczoru został u nich na kolacji młody działacz ludowy Pieczarski i namiętnie dyskutował z doktorem o sprawach społecznych. Stała się go pozyskać dla organizacji którą po wsiach zakładał, starał się go przekonać, że chłop musi działać tak aby rządzić a nie być rządzonym.

Nabrała wtedy przekonania, że stary lekarz nie jest tak radykalny jak myślała. Że nie jest komunistą bo twierdził, że rewolucja nie jest potrzebna. Ale czym był, o co mu chodziło tego nie mogła przejrzeć?

Pieczarski drażnił ją. Opowiadał szeroko o swej działalności politycznej

i chwalił się jak to organizacje katolickie oczyszczone zostały z w pływ paniczów i hrabiów, dzięki walce jaką on przeprowadził. Wspomnił sprawę księdza Matusika i Wojniłowicza, głupiego arystokraty, którego trzeba było odsunąć od organizacji bo tyle bzdurstw narobił. Janka przypomniła sobie, że kiedyś wieczorem w Łazienkach słyszała jakąś dyskusję dwóch studentów, w której także padało nazwisko księdza Matusika. I przypomniła sobie, że Władzio również znał tego pralata.

Pieczarski nie podobał się jej. Patrzył na nią natarczywie, przyglądał się jej, wyraźnie dając jej do poznania że mu się podoba. Nie starał się powiedzieć nic przyjemnego, przeciwnie jakby kokietował ją mówiąc przy niej rzeczy, które miały jej dokuczyć. Narzekał na wojsko gdzie wyższym dowódcom ciągle się zdaje że jak za dawnych carskich czasów mogą traktować chłopów po bydłecemu, a potem wręcz uczynił aluzję do Władzia — przynajmniej tak rozumiała to Janka — gdy mówił o pułkownikach którzy hulają z aktorkami. Raz jeszcze opowiadać zaczął o Wojniłowiczu (widocznie żywi jakiś kompleks na jego tle — myślała Janka) powiadając jak niedawno spotkał go w Sandomierzu.

— I ten pański lalusz, ubrany elegancko próbował jak powiadam z chłopami pogadać ale go wszyscy obśmieli. Spotkałem ci go w Sandomierzu na rynku i dokumentnie wybiłem mu z głowy, że nie zrobi reformy dla ludu bez ludu.

Kozłowski słuchał tego wszystkiego i żał go ogarnął bo przypomniawszy sobie jak to on wierzył przed laty w lud i jak nie umiał się do niego zbliżyć. Myślał o sobie gdy bronił Stasia przed atakami.

— Czy wiesz pan że i ja jego poznał. Właśnie dzisiaj byłem u niego bo leży słuczony po wypadku. I gadał ja z nim także i nie powiem żeby na mnie zrobił takie złe wrażenie. On chciałby czegoś, on szuka czegoś w życiu a to już jest dużo.

— O to lalusz, cacus każdemu umie się przypodobać — kończył Pieczarski wizytę, zwłaszcza że doktor niedwuznacznie ziewał, a Janka wyszła z pokoju mając dość gościa.

Po wyjściu Pieczarskiego doktor zażądał od Herminy wódki, a ona nie chciała mu nalać więcej niż pół szklanki. Gdy Janka zaszła do sypialni powiedzieć mu dobranoc, leżał na łóżku niemrawy i zmęczony, po prostu ścięty alkoholem. Wstydił się tego stanu zawsze i Janka udawała że nie zauważyła iż mówił z trudnością. Aby skierować rozmowę na obojętny temat skrytykowała Pieczarskiego. Ale doktor go bronił.

— Nie gań go, bo on chce dobrze.

— Czemuż o wszystkich źle mówi, z zawiścią?

— Bo walczy moja droga, podnieta w walce potrzebna...

— Nie jest sprawiedliwy, wobec swoich kolegów napadał na tego Wojniłowicza, o którym doktor mówił sam, że to sympatyczny chłopiec.

— Ale zdaje się słaby charakter, w każdym razie za słaby na tak mocnego człowieka jakim już dzisiaj jest Pieczarski. On wie czego chce i wie że zajdzie daleko. Gdybym ja miał jego charakter...

Żeby nie pozwolić mu rozczulić się nad sobą, czego Janka nie znosiła, wróciła do poprzedniego tematu:

— Czy ten Wojniłowicz nie padł ofiarą jakichś intryg?

— Tego nie wiem, lecz będziesz o to mogła osobiście zapytać go, bo zaprosiłem go do siebie jak wyzdrowieje.

I znowu Janka zapomniała o tych sprawach, znowu zgubiły się w jej niepamięci jak tyle przypadkowych zdarzeń w naszym życiu traci się i gubi. Pobyt u doktora Kozłowskiego, nowi ludzie i nowe środowisko skierowały jej pragnienie w zdecydowanym kierunku studiów. Tym żyła, o tym mówiła z doktorem i pod jego wpływem napisała do męża list, w którym donosiła żeby nie liczył na mieszkanie jej w Warszawie, bo ona wyjedzie do Krakowa, gdzie zapisze się na Uniwersytet. Szybko otrzymała odpowiedź. Władzio zimno zgadzał się na postanowienie żony zastrzegając

sobie wolność działania. Janka była bardzo zadowolona. Otrzymała także list od Zatowskiej która widziała się z Władziem i napisała jeszcze to czego on nie donosił: że Władzio „poszedł w górę i idzie ciągle w górę”, że czeka go świetna kariera i że nie chce teraz rozpoczynać rozwodowej sprawy z Janką. Ale że jak się ustali, jak wypłynie to pokaże Jance kim poniewierała, kogo straciła...

Dla niej to wszystko nie miało wartości. Nie przywiązywała wagi do tego co myśli robić jej mąż, czym zostanie, jak zabłyszczyci w świecie. Była zbyt młoda, aby komplikowała sobie życie. Wystarczyło jej że Władzio zgodził się na dobrowolne rozejście. Co będzie potem nie myślała. Była pewna, że ułoży sobie życie tak jak zapragnie, że zdobędzie wykształcenie a może nawet sławę, że zaimponuje światu...

I pod wpływem tych marzeń ruszyła do Krakowa, postanawiając znaleźć sobie pokój, zorientować się w warunkach studiów, ewentualnie przygotować się do nich. Do Warszawy chciała wpaść później, zabrać swoje rzeczy z domu, właściwie wyprowadzić się od Władzia, ale stopniowo, żeby jego nie rozdrażnić, żeby znowu scen nie zaczął jej robić.

Tego dnia Walery zaprzął konia do bryczki i czekał już od godziny przed gankiem, by odwieźć młodą panią na pociąg do Dębicy. Doktor dał mu piątkę żeby przywiózł mu wódki, bo czuł że po wyjeździe Janki będzie musiał pić, upić się jak nigdyby tego nie robił gdyby ona była przy nim. Niestety nie mógł jej odprowadzić bo w ostatniej chwili wypadła mu pilna operacja. Właśnie z wozu wymoszczonego słomą znieśli stękającą Cyganke, a teraz Hermina pilnowała trzech smagłych chłopów „żeby czego nie ukradli jak ich żonę będzie doktor krajać”. I tak doktor żegnał Janke u progu domu, rozczulony, tkliwy, dziękując jej za pobyt u niego i za jej przyjaźń. Mówili sobie słowa serdeczne, obiecali pisać do siebie, obiecali się wzajem odwiedzać. Janka zyskała w nim ojca, on odnosił się do niej jak do córki. W sześćdziesiątym piątym roku życia miał myśleć o kim, samotny, wyrzucony na prowincję, ona w rozkwicie swej młodości równie jak on samotna miała kogoś, o kogo wiedziała że zawsze może się oprzeć.

Jechała drogą wiślaną ku gościńcowi na kolej. Walery gadał do niej o doktorze i dobrych ludziach wokół niego. Świat uśmiechał się, słońce grzało ją przyjemnie. Otwierała się przed nią prosta droga. Czy coś może stanąć przed nią na przeszkodzie — myślała — czy będzie w stanie cokolwiek odwrócić jej postanowienia, które sądziła że są niezachwiane bo wiodą ją do niezależności.

Zdjęła kapelusz z głowy i na wiatr co wiał znad rzeki poddała głowę i włosy. Słońce złociło ją promieniami, koń biegł równo wioząc młodą i piękną panią w świat, gdy nagle Walery wstrzymał wózek, bo za zakrętem wyłonił się pojazd. Poznał zaraz Walery siwka od Tańskich w Ostrówce, ale nie poznał młodego panka, który z taką fantazją powoził.

Droga była wąska, jednokołowa. Objeżdżać się trzeba było, a przed tym zatrzymać, cofnąć, do rowu wmanewrować. Czasu dość by spojrzeli na siebie.

Staś jechał bez marynarki, w rozpiętej koszuli z odwiniętymi rękawami, z włosiem rozburzonym, nie spodziewając się spotkać kogokolwiek. Był onieśmielony zobaczywszy nieznaną osobę, ale wpatrzył się w nią, a potem ukłoniwszy zapytał:

— Czy daleko do domu doktora Kozłowskiego?

Do niej mówił i ją widział na tle pól i Wisły. Równocześnie się mijali a Walery wyjechał prawymi kołami z rowu. Więc zdążyła mu rzucić wesoło, swobodnie, jak dawno nie słyszała by głos jej dźwięczał, bo czuła się tego dnia szczęśliwa i pewna siebie.

— Jeszcze kilometr, ja stamtąd właśnie jadę. Droga prosta.

I już Walery zaciął i poderwał konika tak że nie była pewna czy istotnie młody człowiek zawołał do niej:

— Jaka szkoda!...

Gdy w pociągu rozważała wszystko, doszła do przekonania, że to był właśnie ów kolega Pieczarskiego. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, gdzie ona go już spotkała? Męczyła się całą drogę.

I podobnie nie mógł sobie przypomnieć Stanisław.

STEFAN THEMERSON

BAYAMUS

(ciąg dalszy)*

X.

RHODODENDRON

Musieliśmy pójść okrężną drogą albowiem most był zmęczony. Był to wielki, żelazny most. Ciężar tylu pojazdów, wozów towarowych, czołgów w dzień i w noc przejeżdżających na drugą stronę rzeki, działał nań jednak z taką siłą i tak ustawicznie, że zaszły pewne zmiany we wzajemnym układzie molekuł tworzących krystaliczną strukturę żelaza, co spowodowało że most stawał się coraz bardziej zmęczony, coraz mniej wytrzymały na złamanie.

Poszliśmy więc okrężną drogą. Miała ona kształt $\Rightarrow$. Kiedy znaleźliśmy się na górnym końcu $\Rightarrow$, rzucił mi się nagle w oczy plakat wywieszony w oknie sklepu z papierosami. Był to plakat Teatru Poezji Semantycznej. Kiedy patrzałem nań przez chwilę, oko moje wyłowilo z niego obraz czegoś, co natychmiast głęboko wstrząsnęło wszystkimi moimi narządami wewnętrznymi, nie potrafiłem jednak zwerbalizować co to takiego było. Wrażenie zaistniało w mych narządach wewnętrznych nie dotknęło jednak mięśni mego aparatu mowy.

— Najmieszniejszy kawał jaki znam, — rzekł Bayamus, — to, to że Jezus Chrystus składał się z mniej więcej takiej samej liczby protonów co Herr Goebbels.

Nie widziałem w tym nic śmiesznego i milczałem. Mieliśmy teraz przed sobą ścieżkę. Krzaki rosły po obu jej stronach. Krzaki miały ciemnozielone igły zamiast liści. I żółte kwiaty. Ptak, samiec posiadający w ogonie dwa długie pióra, sterówki, zakrzywione w kształt liry, spacerował obok, krokiem sztywnym, sztucznym, pompatycznym, przesadnym. Gdzieś z tyłu, ponad torem kolejowym, biegł wzdłuż stalowych szyn ostry, świszczący dźwięk, wytworzony za pomocą pary przedzierającej się przez gwizdek lokomotywy, było to jednak za daleko by go usłyszeć.

Ścieżka, którąśmy szli, wchodziła pomiędzy dwa domy, a za nimi była ulica. Szli po niej ludzie, w jedną stronę i w drugą. Wchodzili do sklepów i wychodzili, stawali w ogonkach, przechodzili przez jezdnię, kupowali gazety na rogu. Jeden z nich stał oparty plecami o latarnię i wykrzykiwał do drugiego:

— Ależ doktorze, ja mam prawdziwy kompleks winy. Kiedy wychodzę z teatru, nie mogę cieszyć się sztuką jaką widziałem, bo natychmiast spostrzegam żebraka stojącego na ulicy. Kiedy jem obiad, nie mogę rozmawiać się w nim, bo nie umiem odpędzić od siebie myśli, że nawet najtańszy obiad robociarza został *zarobiony* dla niego przez biednych Hindusów i Murzynów.

* W poprzednich numerach *Nowej Polski*: BAYAMUS: 1. Theatrum Anatomicum; 2. Martwa Natura Z Czarnym Butem; 3. Palec w Ustach; 4. Trzecia Noga; 5. Historia Bayamusa; 6. Wrotki; 7. Mutacje; 8. Dom Z Czarnymi Kolumnami; 9. Je Sème à Tout Vent.

— Czy mówi pan: „rhododendron” co rano, tak jak panu kazalem? — spytał drugi głośno.

— Tak, doktorze, mówię, ale to nie pomaga! — wykrzyknął pierwszy.

— Więc niech pan postara się wreszcie uświadomić to sobie, że wszystkie te rzeczy mają miejsce dlatego tylko, ponieważ pierś pańskiej matki ssal pan w dzieciństwie za mocno! — rzekł ten nazwany doktorem i wsiadł do samochodu.

Mnóstwo samochodów, czarnych i niebieskich, czerwonych i żółtych, zielonych i szarych, jechało po ulicy. Na rogu, stara kobieta usiłowała sprzedać parę pęczków liliowego ziela o kwiatach zielonych, ukrytych w koronie szerokich owalnych liści. Człowiek-w-czarnym-twardym-półkulistym-filcowym-nakryciu-głowy usłyszeć musiał ostatnie zdanie wypowiedziane przez człowieka-nazwanego-doktorem podszedł bowiem do człowieka-opartego-plecami-o-latarnię i rzekł:

— Karmienie piersią jest niewątpliwie najlepsze, Sir, a jednak Utent Barley z mlekiem jest doskonałą namiastką, łatwo strawną i pożywną, niedrogą i łatwą do przyrządzenia. Jeżeli pan rzeczywiście chce zapomnieć o żebrakach, Hindusach i Murzynach, to...

— Sir, — człowiek-oparty-plecami-o-latarnię przerwał mu i, pokazując palcem jeden z samochodów jadących po jezdni, powiedział: — Oto jest wspaniała 10-cio konna limuzyna, pełna udoskonaleń! Jeśli chodzi o jej funkcjonowanie: silnik pracuje ciszej i sprawniej; na nowo zaprojektowana głowica cylindra daje dodatkową moc; skrzynka biegów udoskonalona; zmienna przekładnia zębata kierownicy. Jeśli chodzi o komfort: głębsze fotele z podnoszoną poręczą środkową; izolacja akustyczna ścian kabinerii; szczelny dach zesuwany błyskawicznie. Kup pan jedną taką sztukę za £370 plus około £87 podatku od kupna a ja pošlę panu jednopensowy znaczek z prośbą o przysłanie mi tej pańskiej nieocenionej broszury o namiastce zastępującej karmienie piersią.

— Sir, — odezwał się młody-po-sportowemu-ubrany-mężczyzna — tym co naprawdę zmusza pana do myślenia o żebrakach, Hindusach i Murzynach jest: zatwardzenie. Zatwardzenie rujnuje pańskie samopoczucie ponieważ wytwarza przekrwienie pańskiej wątroby. Zakłóca ono pańskie trawienie ponieważ powoduje zaburzenia w pańskim żołądku. Nie pozwala panu być towarzyskim, radosnym, pełnym inicjatywy, ponieważ jady zatruwają całe pańskie ciało. A tymczasem istnieje prosty środek na taki stan rzeczy, i miliony wiedzą że środkiem tym jest polykanie we właściwym czasie Pigulek Czama. Niech pan zawsze nosi pigułki Czama przy sobie: są one łagodne, naturalne, skuteczne i można na nich polegać!

— Jeżeli panowie pozwolą... — rzekła młoda-zgrabna-blondynka, uśmiechając się radośnie — Jestem szczęśliwa, że spotykam panów osobiście. Przez wiele lat cierpiałam na chroniczną niestrawność. Aż mąż mój przyniósł do domu puszkę Ytta Proszku Przeciwkwasowego i wymusił na mnie bym go wypróbowała. Doznałam natychmiastowej ulgi. Móc jeść co się podoba wiedząc że się nie będzie już doznawało bóli spowodowanych żebrakami, Hindusami czy Murzynami to rzeczywiście cud, który stał się możliwy dzięki temu zadziwiającemu proszkowi!

— Co do mnie, — wykrzyknęła siwo-włosa-lady przejeżdżająca-właśnie-strasznie-powoli-au-renti-na-swym-rowerze — stale zażywam Sun pastylki i czuję się A.1! Wspaniałe są one i nie można ich dość nachwalić!

— Zaraz, zaraz, — rzekł gentleman-w-zielonym-miękkim-kapeluszu — ja z Tilbury tu przyjeżdżam i niech pan posłucha! Od dziesięciu lat używam Ood Pokarmu Dla Drobiu i bez niego nie mógłbym hodować moich kur. Nie mam nigdy ani jednego chorego ptaka i nigdy okres rocznego pierzenia się nie trwa u nich dłużej niż 6 tygodni. Nawet w czasie tego okresu nie przerywają składania mi jaj i mam ich ponad 200 rocznie z każdego ptaka.

— Całkowicie zgadzam się z mym Honorable Friend z Tilbury, — rzekł pan-w-okularach-w-złotej-oprawie — jednak by mieć najwięcej pożytku

z pańskiego ubrania nie powinien pan czekać z oczyszczeniem go aż do chwili w której będzie przesiąknięte brudem na wylot. Odrobina Owp na czystej szmatce wyczyści pański kompleks winy całkowicie. Powinien pan robić co pewien czas regularny przegląd swego ubrania i stosować Owp natychmiast we wszystkich brudnych miejscach, zwłaszcza na kołnierzu, na łokciach i przy mankietach. Owp nie psuje koloru; nie pozostawia zapachu. A można go używać bezpiecznie wszędzie, ponieważ nie jest łatwopalny!

— Nie jest łatwopalny! Nie jest łatwopalny! — wykrzyknęła kobieta-nosząca-długie-białe-pióro-na-czubku-swego-kapelusza — A myśli pan może że Atom jest łatwopalny?! Oh, Sir, niech pan posłucha mnie! Niech pan posłucha mnie, błagam, a zobaczy pan, że pan wykrzyknie z radością: „Ach... Błogosławiona Ulga dla mojej świadomości!” Rozjątrzone, delikatne, obolałe dusze czują się jak nowe po użyciu kojącej Atomowej kąpieli nożnej. Atom uwalnia tlen: czyści pory z kwasu. Znużenie znika, ból zmyty jest precz. Różowy pakiecik za 3 i $\frac{1}{2}$ pensa rozwiązuje pański problem, Sir.

— Nie mam nic przeciwko różowym pakieczkom za 3 i $\frac{1}{2}$ pensa — odezwała się inna-kobieta lecz w tej chwili młody-mężczyzna-z-dzieckiem-na-ręku przerwał jej i rzekł:

— Wcale nie miałem zamiaru powiedzieć że ja mam coś przeciwko nim, ale...

— Niech mi pan, z łaski swej, nie przerywa! — rzekła ta inna-kobieta i powtórzyła: — Nie mam nic przeciwko różowym pakieczkom, lecz niech pan pamięta, Sir, że problem pański mieści się w całej pana skórze, nie tylko w skórze, która pokrywa pana stopy...

— A jeśli chodzi o szczeliny między zębami to niby co...? — młody-mężczyzna-z-dzieckiem-na-ręku wtrącił znowu.

— Niech mi pan będzie łaskaw nie przerywać! — rzekła ta inna-kobieta — Cała pańska skóra, Sir, jest bardzo wrażliwym narządem. Posiada 2.000.000 por i, żeby utrzymać je w stanie aktywnym, potrzebne jej są regularne kąpiele. Jej subtelne unerwienie podniecane być musi za pomocą zimnych pryszniców i energicznych masażu. Kiedy już skóra pańska zacznie pracować tak jak to Natura przykazała, zobaczy pan że pan zdobył nowy zmysł. I dopiero kiedy pan rozwinie w sobie ten Zmysł Skóry będzie pan mógł w całej pełni rozkoszować się luksusową przyjemnością jaką daje gorąca kąpiel; świeżym dotykiem czystej bielizny; łagodną pieśczętą podmuchów morskich, opływających pańskie nagie uda; a przede wszystkim swobodnym, zachwycającym dotknięciem Oyt Talku po kąpieli: tym najbardziej podniecającym doświadczeniem, jakie może pana Zmysł Skóry uradować. Pobudzając w ten sposób pana Zmysł Skóry, Oyt Talk wywoła w panu tę spokojną jedwabistą ufność, uczucie zadowolenia z siebie i pewności, że te wszystkie zebraczo-murzyńsko-hinduskie sprawy przedstawiają się tak właśnie jak pan tego sobie życzy, i uczucie to trwać będzie w panu cały dzień!

— Tak, a w nocy to co? — odezwał się znowu młody-mężczyzna-z-dzieckiem-na-ręku i, zwracając się do człowieka-wciąż-jeszcze-oparte-go-plecami-o-laternię, rzekł: — Sądzę, że ja potrafię panu pomóc, Sir. Jaki jest najlepszy sposób czyszczenia sztucznych podniebień i porcelanowych zębów? Oczywiście, że za pomocą szczotki. Tylko za pomocą szczotkowania można usunąć drobne cząsteczki pożywienia ze szczelin pomiędzy zębami. A co, gdyby tak spróbować oczyścić i pański problem za pomocą szczotki i Owl Proszku Do Zębów, — 6 pensów oraz 10 $\frac{1}{2}$ pensa podwójna ilość?!

— To wszystko jest nonsens! — rzucił się podirytowany-głos-kogoś-stojącego-z-tyłu — Rozwiązanie jego problemu jest: W POPRZEK — 1. Dressed crab, 7. Denominator, 8. Assess, 10. Front, 12. Dab, 14. Use, 15. Hue, 16. Marsh Mallow, 18 i 19. Month of May; W DÓŁ — 1, 8 i 16.

Dad and Mam, 2. (D) Ennis, 3. S-am, 4. Do-n(ot), 5. Ratio, 6, 11 i 17. Bar the way, 9. South, 10. Freda, 13. Baron, 15. H-i-lum.

— Brawo, doskonale! — rzekł inny człowiek nie-wyjmujący-fajki-z-ust-w-czasie-mówienia — Bardzo dobrze, to jest trafne rozwiązanie, ale jemu ono nie pomoże. Czego mu trzeba to 10 Koreańskich w jego ogrodzie. Te nowe chryzantemy są ostatnim cudem ogrodnictwa. Łatwe do wyhodowania, bardzo wytrzymałe, dają powódź kwiatów w nowych, rozkosznych, pastelowych odcieniach trudnych do opisania. Kolekcja o której mówię zawiera między innymi Apolla, Marsa i Jante Wells. 10 wspaniale zakorzeniających się ogrodowych roślin, w opakowaniu z mchu, 2sh. 6d. wraz z przesyłką pocztową!

— Co to jest ta cała gadanina? — spytał Bayamusa, kiedyśmy się wreszcie przepchnęli przez tłum. Bayamus jednak, zamiast odpowiedzieć mi, wskazał ręką wielki budynek stojący po drugiej stronie skweru i w tej samej chwili, bez słowa, wiedziałem że mam przed sobą Teatr Poezji Semantycznej. Chciałem powtórzyć moje pytanie, kiedy nagle usłyszałem kroki, szybko zbliżające się ku nam. Od tłumy zgromadzonego wokół latarni biegł w naszą stronę siwy i stary ale wysoki i barczysty mężczyzna, z wielkim, jak krew czerwonym kwiatem w butonierce. Podejrzliwie rozejrzał się wokoło, a potem przysunął usta do naszych uszu i pospiesznie wyszeptał:

— Słuchajcie, panowie. Obiecałem nagrodę w wysokości 1 gwinei temu kto pierwszy nadeśle mi prawidłowe rozwiązanie na karcie pocztowej; rozstrzygnięcie w środę rano:

Czarne: 9 figur.

Białe: 7 figur.

| 8 | 7 P | 8 | b R 1 B p 2 p |
1 p 1 k 2 p 1 | 1 K p b p 1 P 1 |
3 K t 4 | 3 Q 4 |

Białe zaczynają i dają mata w dwóch posunięciach.

Mnóstwo urozmaień!

XIa

TEATR POEZJI SEMANTYCZNEJ

Miałem zamiar wejść do teatru tak, żeby nie zwracając niczyjej uwagi zająć miejsca gdzieś w końcu widowni. Kiedy jednak znaleźliśmy się w otwartych drzwiach sali, ujrzałem setki par oczu skierowanych wprost na nas. Instynktownie cofnąłem się o krok, jednocześnie jednak ogarnęło mnie bardzo nieprzyjemne uczucie że, wystawiając w ten sposób trzecią nogę Bayamusa na widok, zachowuję się nielojalnie w stosunku do niego.

W tej samej chwili jednak zauważyłem, że dwaj panowie we frakach zbliżają się do nas, machając powitalnie rękoma. Nie miałem już wątpliwości, że znają oni Bayamusa dobrze i że nie jest on bynajmniej kimś obcym w tym towarzystwie; cofnąłem się więc jeszcze o krok jeden.

Bayamus jednak nie odpowiedział na te powitalne gesty. Jak gdyby nigdy nic wszedł na widownię, podczas gdy dwaj panowie we frakach podeszli wprost do mnie.

— Hallo! — rzekł jeden z nich, — Ładną pogodę mamy dziś wieczór.

— Istotnie... — odpowiedziałem.

— Wiatr Zachodni przestał wiać, na szczęście... — rzekł Drugi.

— A, tak! — odpowiedziałem.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu, — rzekł Pierwszy, — to pójdziemy tędy...

I pokazał mi korytarz po mojej lewej ręce.

Poszedłem razem z nimi, zdziwiony że tak się mną zajmują. W pierwszej chwili myślałem, że chcą mi pokazać szatnię albo że może chcą żebym podpisał książkę klubową, jeśli to nie jest publiczna impreza. „Czy z każdym nowym gościem robią tyle ceremonii?” pytałem sam siebie. Zastanawiałem się właśnie nad tym, niezadowolony, ponieważ przekonany byłem że wieczór już się rozpoczął, kiedy moi towarzysze zatrzymali się nagle przed drzwiami po prawej ręce.

— Więc... — rzekł jeden z nich.

— Więc...? — zapytałem. I jednocześnie uświadomiłem sobie, że w jakiś swój sposób zrozumiał on moje pytanie.

— Dobra! — rzekł. I otworzył drzwi.

Weszli, i ja z nimi. W środku pomiędzy drzwiami i przeciwległą ścianą stał stół i trzy krzesła po jednej jego stronie. Moi towarzysze wskazali mi krzesło w środku, zapraszając bym usiadł. W chwili kiedy to czynił spojrzałem przed siebie i poczułem, że krew odpływa z mej twarzy. Parę setek ludzi patrzyło wprost na nas.

— Panie i Panowie, — rzekł pan po mojej lewej ręce, — mam zaszczyt oznajmić: Wieczór Poezji Semantycznej jest otwarty.

I dalej coś jeszcze mówił o sztuce i poezji Średniowiecza oraz o sztuce i poezji Przyszłości. Raz po raz czynił jakieś uwagi na temat poezji jaka miała być za chwilę recytowana i w tych momentach skłaniał lekko głowę w prawą stronę. Wtedy i ja, nie bez zaciekawienia, spoglądałem na jego głowę po mojej prawej ręce i zastanawiałem się jaka to jest ta poezja, którą ma on nas za chwilę uraczyć.

Wreszcie jegomość po mojej lewej ręce usiadł i jegomość po mojej prawej ręce wstał.

— Panie i Panowie, — zaczął, ale potem i on zaczął mówić o sztuce i o poezji, mianowicie o sztuce i poezji Epoki Romantycznej oraz o sztuce i poezji Teraźniejszości. I on także raz po raz wtracał coś tam o poezji jaka miała być za chwilę recytowana i w tych momentach skłaniał lekko głowę w swoją lewą stronę. Spoglądałem na jegomościa po mojej lewej ręce i na jegomościa po mojej prawej ręce i, zmieszany, nie mogłem już dojść do tego który z nich dwóch jest właściwie poetą. Zastanawiałem się właśnie nad tym, kiedy poczułem nagle, że straszne podejrzenie wkradła się do mego umysłu. Przymknąłem powieki i w tejże chwili na siatkówce moich oczu ukazał się z przeraźliwą ostrością ów plakat Teatru Poezji Semantycznej, plakat jaki wisiał był na wystawie sklepu z papierosami. I nagle ujrzałem co to była ta rzecz, która tak mocno zatargała wszystkimi moimi organami wewnętrznymi, chociaż nie udało mi się jej zwerbalizować. Tak, nie miałem już żadnych wątpliwości. Wielkimi, tłustymi, czerwonymi literami moje własne nazwisko wydrukowane było na plakacie. Jak to się stało, że nie uświadomiłem sobie tego przedtem? Moja pierwsza reakcja teraz była: „dobrze, więc wstanę i pójde sobie. Ktoś mi spłatał bardzo głupiego figla. Nic nie mam wspólnego z tym wszystkim!” Po chwili jednak ogarnęło mnie potworne uczucie że to nie to, że to nie żaden figiel, że to coś innego, coś innego i o wiele bardziej przykrego. Od paru lat wiedziałem już bardzo dobrze, że coś tam nie w porządku jest z moją pamięcią. Na przykład całkowicie świadomy byłem tego, że w mej pamięci istnieje dziura, dotycząca okresu paru miesięcy z roku 1940, i nie umiałem przypomnieć sobie niczego z tego właśnie czasu. Pamiętałem, że byłem w pułku piechoty, pamiętałem jeden szczególnie piękny, słoneczny dzień, a potem była pusta przestrzeń, nic, i potem nie byłem już w wojsku. „Więc, — rzekłem sam do siebie — a jeżeli to było tak, że obiecałem im ten występ i zapomniałem o tym zupełnie?!” Przymknąłem oczy i życzyłem jegomościowi po mojej prawej ręce żeby miał siłę przemawiać do niekończoności.

„Co to może być do diabła ta piekielna P.S.?” — pytałem sam siebie, kiedy nagle, zaczęły mi brzmieć w uszach dziwne dalekie, słowa:

Kardang garro
Mammul garro
Mela nadjo
Nunga broo

„Ah, no oczywiście...” — przypomniałem sobie (jegomość po mojej prawej ręce wciąż jeszcze, na szczęście, przemawiał), „...to było, ile?, 25 lat temu, kiedy w bibliotece mego ojca znalazłem książkę : Sir E. B. Tylor, Antropologia, to w niej był ten wiersz:

Kardang garro
Mammul garro
Mela nadjo
Nunga broo

Nic mi to nie przeszkadzało, że wiersz ten był ułożony przez Australijczyków. Przetłumaczony był i rozumiałem go lepiej niż całą „prawdziwą” poezję jaką znałem w owym czasie.

Młodego-brata znowu
Syna znowu
Już nigdy więcej
Nie zobaczę

Zwrotka ta wydawała mi się najlepszym, najbardziej uniwersalnym poematem na świecie. Nie zawierała nic co by było specjalnie związane ze szczególnym krajem Hugo czy Mickiewicza, ze szczególnym czasem Homera czy Danta, ze szczególnym językiem Byrona czy Goethego, nie było w niej słów które by wymagały przypisów, komentarzy, odsyłaczy, nie było w niej słów których znaczenie zmieniałoby się w zależności od tego w jakim kraju mieszka, w jakim czasie żyje, jakim językiem włada — czytelnik.

Kardang garro
Mammul garro
Mela nadjo
Nunga broo

wytrzymało próbę czasu, przestrzeni i tłumaczenia, zdało egzamin z historii, geografii i języka”.

Gentleman po mojej prawej ręce wciąż przemawiał, na szczęście.

„Każde ze słów P.S. powinno mieć jedno i tylko jedno znaczenie”, — szepnąłem sam do siebie, zdumiony tym, że w ogóle mam jakieś zdanie na temat czym P.S. powinna być. — „Powinny być dobrze zdefiniowane. Powinny być wyprane z tych wszystkich rozmaitych aureol wytworzonych przez warunki rynku. Słowo: *wojna*, na przykład, taszczy za sobą rozmaite skojarzenia i różne dla różnych ludzi. Dobrym jest więc słowem dla jakiejś przemowy politycznej, w poezji jednak, w wierszu, wolałbym na miejscu słowa: *wojna* znaleźć bardziej dokładną definicję tego pojęcia, chociażby taką jaką znaleźć mogę w moim słowniku: *...otwarty konflikt pomiędzy narodami, albo czynna międzynarodowa wrogość dokonywana za pomocą siły oręża*. I zamiast słowa: *śnieg*, które w umysłach różnych ludzi wzbudza różne, wcale nie podobne do siebie harmoniczne, wolałbym w wierszu znaleźć: *wielopostaciowe kryształ, należące do systemu heksagonalnego, utworzone przy powolnym zamarzaniu pary wodnej*”.

Gentleman po mojej prawej ręce kończył swoją przemowę. Powiedział jeszcze jedno zdanie, było coś tam o nowym świecie w tym zdaniu, i usiadł. Widownia czekała teraz na dalszy ciąg. I nie miałem już żadnych wątpliwości, że to jest moja kolej.

Wstałem. Mimo wszystko było to dość śmiesznie widzieć wszystkich ludzi wokoło jak czekają na wiersze i nie mieć żadnych wierszy do powiedzenia.

— Nie mam żadnych wierszy do powiedzenia, — powiedziałem i w tej samej chwili poczułem, że to nieprawda. Pamięć moja zaczęła nagle pracować i zdawałem sobie sprawę, że coś się w niej formuje. Najważniejsze teraz było: zyskać na czasie. — Nie mam żadnych wierszy do powiedzenia, — powtórzyłem, — mogę Państwu dać jedynie instrumentację... orkiestrację...

I w tej chwili rozjaśniło mi się wszystko.

— Partyturę muzyczną — powiedziałem — czytać można poziomo, śledząc linię melodyjną, albo też pionowo, śledząc ów dźwiękowy materiał budowlany, strukturę. To samo jest z poezją. Weźmy na przykład ten wierszyk, pisany przez poetę Li Po w czasach kiedy Chiny wysyłały proch do Europy, Europa zaś Żydów do Chin,:

Wino pośród kwiecia,
O, jaki jestem samotny.
Ach, księżycu, w oddali świecisz,
Do ciebie piję.

Spójrz, obok mnie mój cień,
We trzech nam będzie przyjemniej.
Księżycu, czemuś daleko tak, hen?
Zatańcz z mym cieniem i ze mną.

*

Będziemy tak bawić się wiecznie,
Księżycu, usłysz me pienie,
Jak chmury możemy pierzchnąć
Ja z moim cieniem.

Pijani, spajamy się w jedno,
(Samotni tylko w porze słonecznej),
Na schadzkę umówmy się wieczną
Gdzieś pośród Drogi Mlecznej.

Wiersz ten czytać możemy poziomo, słowo po słowie, i w ten sposób wydobyć jego melodię, możemy jednak także każde ze słów rozpisać na całą naszą intelektualną orkiestrę, możemy przeobrazić je w mięso dokładnych definicji i, zamiast pozwalać im by wywoływały w naszych umysłach jakieś skojarzenia przypadkowe, możemy postarać się znaleźć w nich prawdziwą, tłustą rzeczywistość, i to jest właśnie *to*, co nazywam Poezją Semantyczną.

Po tym wstępie przetłumaczyłem chiński poemat na Poezję Semantyczną i wyrecytowałem go w tej nowej formie.

Następnie mówiłem więcej jeszcze wierszy i pieśni, pochodzących z rozmaitych krajów, za każdym razem dając moim słuchaczom odpowiedni przekład na P.S. Czułem, że nawiązałem kontakt z mym audytorium, miałem wrażenie, że słuchacze moi rozumieją o co mi chodzi, temperatura sali rosła coraz wyżej i wyżej, nim jednak zdam sprawę z tego co zdarzyło się potem, muszę wymienione powyżej tłumaczenia na P.S. przytoczyć tutaj z taką dokładnością, z jaką potrafię je teraz odtworzyć.

NAPISANY PRZEZ LI PO, ŻYJĄCEGO W CZASACH DYNASTII T'ANG,
CHIŃSKI POEMAT LIRYCZNY POD TYTUŁEM: „PIJĄC PRZY KSIĘŻYCU”
W MOIM PRZEKŁADZIE NA POEZJĘ SEMANTYCZNĄ

Sfermentowany sok owocowy pośród roślinnych narządów rozrodczych
O! jakże świadom jestem tego, że znajduję się w położeniu którego główną cechą jest
to, że nie posiadam kontaktu żadnego z innymi istotami ludzkimi.

Ach! Ciało towarzyszące Ziemi
wirujące wokół niej
oddalone (średnio) o 384,365 km
i świecące światłem słonecznym
odbitym od Twej powierzchni
Nabieram płynu w usta i łykam go
i jednocześnie życzę Ci żeby Ci się dobrze powodziło.

Odbierz wrażenie wzrokowe
którego przedmiotem jest ciemna plama utworzona obok mojego ciała
zatrzymującego te z Twych promieni świetlnych jakie padają na mnie
Jeśli razem będziemy się trzymać — przyjemniej nam trojgu będzie
Mnie
Ciemnej Plamie
i Tobie.

Ciało towarzyszące Ziemi
czemu oddalone ode mnie jesteś o 356,643 km *minimum*
czemu odległość ku Tobie rośnie aż do 407,107 km?
Zacznij poruszać się szeregiem rytmicznych posunięć
poruszać się zacznij razem z tą częściową ciemnością która jest nieistnieniem
Twego światła pomiędzy moim ciałem i powierzchnią ziemi
z ową Ciemną Plamą rytmicznie poruszać się zacznij
i z Autorem Tego Poematu.

*

To uczucie przyjemności trwać będzie dłużej niż jakikolwiek dany okres czasu
Ciało towarzyszące Ziemi
pozwól wibracjom mej krótkiej piosenki lirycznej
pobudzić błonę bębenkową Twego ucha zewnętrznego
i przeniknąć do Twego wewnętrznego okienka owalnego
i następnie do płynu znajdującego się w Twoim uchu wew-
nętrznym
pozwól im wywołać podniety które by przez nerw słuchowy Twój przeszły
aż do centrum słuchowego w Twoim mózgu
Ja i ta Ciemna Plama spowodowana tym, że ciało moje znalazło się w stożku światła
idącego od Ciebie ku powierzchni Ziemi
Usunąć się możemy z pola widzenia tak szybko jak masy drobniotkich kropelek wody
zawieszone wysoko
w gazach powietrza.
Lecz mając sfermentowany sok owocowy w żołądkach naszych
i wchłaniając go w nasz płyn rdzeniowo mózgowy
i paraliżując nim części naszego systemu nerwowego
mówiąc głosem niskim
widząc mętnie lub podwójnie
nie mogąc utrzymać równowagi

stanowić będziemy całość

(Rozłączeni jedynie w porach pomiędzy wschodami i zachodami słońca)
Wyznamy sobie spotkanie które trwałoby dłużej niż jakikolwiek dany okres czasu
Wyznamy je sobie gdzieś pośród 145,000 milionów gwiazd
tworzących tę szczególną Wyspę Wszechświata
której częścią jest nasz System Słoneczny.

POCZĄTEK PIERWSZEJ STROFY PIEŚNI ROSYJSKIEJ: „HAJDA TROJKA /ŚNIEG PUSZYSTY/ DZWONKI DZWONIA...” W MOIM PRZEKŁADZIE NA POEZJĘ SEMANTYCZNĄ

Hajda trzy wielkie, silne, nieparzystokopytne, oswojone ssaki o długich rozwianych
grzywach i ogonach
wszystkie wasze 3×4 nogi w powietrzu jednocześnie
wszystkie wasze 3×4 nogi w niewidzialnej
sprężystej
gazowej substancji która otacza Ziemię
wszystkie wasze 3×4 nogi bez oparcia o taką substancję która mogłaby inną
nie przepuścić przez siebie
— w czasie jednej fazy każdego posunięcia naprzód
a w czasie drugiej fazy każdego posunięcia naprzód:
wszystkie wasze 3×4 nieparzystokopytne nogi
już nie w powietrzu
lecz w wielopostaciowych kryształach
utworzonych przez powolne zamarzanie pary wodnej
i

n h s s u
 a c y y m
 l y do do sse
 e c do . do t
 n a l e ż a c y c h do do see
 e c y m m
 l y do do s u u
 a c
 n h

h o
 e g
 x a n
 g l
 o a
 hexagonalnego
 o a
 g l
 a n
 x e
 e g
 h o

Ich (kryształów) budowa
 przypomina miękki delikatny puch znajdujący pod piórami ptaków
 ich (kryształów) wygląd
 przypomina lekką puszystą substancję
 przypominającą miękkie delikatne pierze znajdujące pod skrzydłami białych ptaków

Zawieszone na karkach trzech silnych nieparzystokopytnych oswojonych ssaków
 małe
 wydrążone
 miseczkowate naczynka z metalu
 zamknięte po stronie węższej i wyższej
 otwarte po stronie szerszej i niższej
 uderzane młoteczkami przyczepionymi wewnątrz nich od góry
 powodują wokoło siebie okresowe zagęszczenia i rozrzedzenia powietrza istniejące
 niezależnie od tego czy jest gdzieś ucho które je słyszy jako dźwięki czyste
 pogodnie wibrujące

OTO JEST PRZEKŁAD NA POEZJĘ SEMANTYCZNĄ *POCHWAŁY WSZEL-
 KIEGO STWORZENIA JAKĄ UCZYNIŁ ŚWIĘTY FRANCISZEK KIEDY
 PAN KRÓLESTWO SVOJE OBIECAŁ MU*

Najlepiej przystosowany do górowania nad otoczeniem
 posiadający moc i autorytet nad wszelkimi rzeczami
 i zdolność uczynienia wszelkich rzeczy
 doskonały jeśli chodzi o sprawy zachowania się związane z rozróżnianiem
 pomiędzy dobrem i złem

uczciwy
 dotrzymujący zobowiązań moralnych
 sumienny

wyrozumiały Panie
 Tobie niech będzie chwała
 zaszczyt
 sława
 i wszelkie błogosławieństwo

Tobie jednemu
 wyłącznie
 i nikomu innemu
 o najlepiej przystosowany do górowania nad otoczeniem
 należą się one

i nikt z rodziny ssaków naczelnych
 nie posiada takich przymiotów charakteru
 które by czyniły go osobą właściwą do wymieniania Imienia Twojego

Chwalmy Cię i wywyższajmy za pomocą nabożeństwa
 za pomocą produkcji muzycznych
 za pomocą śpiewu o Twojej wielkości
 i dobroci

Panie mój

czy znaczy to: Panie który należysz do mnie
 czy też: Panie do którego ja należę

chwalmy Ciebie i wszelką rzecz która nie sama z siebie istnieje
 lecz zrobiona jest z niczego przez Ciebie
 przede wszystkim zaś chwalmy owo męskie
 mające tych samych rodziców co my
 żarzące się
 mniej więcej sferyczne ciało
 niebieskie

wokół którego planety naszego systemu planetar-
nego krążą po swych eliptycznych orbitach
i które dają nam dzień
i oświeca nas w ten sposób
A piękne jest ono i promieniące wielkim splendorem 116,130 ton ciśnienia świetlnego
jakie przypada na oświetloną połowę powierzchni Ziemi
Do Ciebie
o wyniesiony ponad wszelki poziom
jest ono podobne

Chwalmy Cię

Władco mój

za Siostrę Księżyc
za tę żeriską
mającą tych samych rodziców co my
Towarzyszkę Ziemi naszej
i za te własnym światłem świecące Ciała Niebieskie
za te niezwykle gorące
rozżarzone masy
mieszczące się w olbrzymich odległościach od naszego
systemu słonecznego
(zaś „olbrzymia odległość” znaczy tu: „większa niż
4 lata świetlne”)
w przestrzeni w której poruszają się Ty uczyniłeś je czyste
i jasne
i drogocenne
• i urodziwe

Chwalmy Cię

Właścicielu mój

za Brata naszego Ruch Powietrza
który powstaje wskutek niejednostajnego ogrze-
wania się i wilgotności atmosfery
i za tę Mieszaninę Azotu
Tlenu
Argonu
Dwutlenku Węgla
Wodoru
Neonu
Helu
Kryptonu
Ksenonu
z niewielkim dodatkiem
Pary Wodnej
Azotanu Amonu
Siarkowodorów
& Cząsteczek Kurzu
i za te Masy Pary Wodnej utworzone w wyższych warstwach
powietrza
i za sprzyjające
i za każde: złe
dobre
wspaniałe
deszczowe
upalne
wietrzne Warunki Atmosferyczne

których wywołujesz całokształt tych sił które stanowią otoczenie stworzeń Twoich
dostarczają im pokarmu i przedłużają w ten sposób ich bytowanie

Chwalmy Cię

Władco mój

za Siostrę Tlenek Wodoru
który najbardziej pożyteczny jest
i skromny
i cenny
i czysty

Chwalmy Cię

Rządco mój

za Brata Szybkie Utlenianie
któremu towarzyszą rozżarzone masy gazów

I piękne jest ono
wesołe
krzepkie
silne

za pomocą których rozświetliłeś noc naszą

Chwalmy Cię

Panie mój

za naszą Siostrę: Matkę Ziemię
która umożliwia nam byt
i która kieruje naszym zachowaniem się
i wytwarza różnorodne owoce
oraz te części roślinnych narządów rozrodczych
które odbijają fale świetlne tak
że 394 miliony milionów
do 833 milionów milionów tych fal
wpływa w oko nasze w ciągu jednej sekundy

Chwalmy Cię

Posiadacz mój

za naszą Siostrę Zaprzestanie Funkcjonowania Ciała jako
zorganizowanej całości
za naszą Siostrę Zaprzestanie Funkcjonowania Wielu Try-
lionów Komórek z jakich się ciało nasze składa

nikt z żywych ssaków naczelných nie zdolny jest uciec od niej

Boskie

nadnaturalne gniewy

zemsty

nieszczęścia

nędze

klęski

zniszczenia czekają tych

których ciała przestają funkcjonować jako zorganizowane całości

nie uzyskawszy wprzód odpuszczenia tych grzechów

które pociągają za sobą potępienie

Chwalcie i błogosławcie Pana mego

i wdzięczni mu bądźcie

i wyrażajcie swą wdzięczność

i służcie Mu

pracujcie dla Niego

pomagajcie Mu

wspierajcie Go

pilnujcie Jego spraw

dostarczajcie Mu dóbr

wykonywujcie czynności jakie Mu mogą być pożyteczne

zaspakajajcie potrzeby Jego

z wielką potulnością

łagodnością

& pokorą umysłu

PIOSENKA: JAK TO NA WOJENCIE ŁADNIE (BIS) KIEDY UŁAN Z KONIA
SPADNIE (BIS) KOLEDZY GO NIE ŻAŁUJĄ (BIS) JESZCZE KONIAMI POT-
RATUJĄ (BIS) W MOIM PRZEKŁADZIE NA POEZJĘ SEMANTYCZNĄ

Jak ładnie jest w czasie tego otwartego konfliktu pomiędzy narodami

Jak miło jest w czasie tych czynnych międzynarodowych wrogostek dokonywanych za
pomocą siły oręża

Kiedy żołnierz lekkiej kawalerii

uzbrojony w oręż składający się z zaostrej głowy żelaznej

umocowanej na końcu tyki o długości 2 m. i 74 cm.
do 3 m. i 2 cm.

i używanej do zadawania i odpierania ciosów

Przesunie się w przestrzeni od poziomu grzbietu swego konia

do poziomu ziemi

Od poziomu grzbietu swego konia

do poziomu ziemi

Jego towarzysze

współuczestnicy w tym otwartym zatarżku pomiędzy narodami
kompani
wspólnicy dzielący te same warunki tych czynnych, międzynarodowych wrogostek
dokonywanych za pomocą siły oręża
nie odczuwają żalu
smutku
współczucia
nie spoglądają nań z chęcią niesienia odsieczy
pomocy
ulgi

przeciwnie:

Sami będą deptać po nim tak żeby go rozgnieść za pomocą zmodyfikowanych utworów
paznokciowych którymi zakończone są nogi ich koni
Sami będą deptać po nim tak żeby go rozgnieść za pomocą płaskich kawałków żelaza
za pomocą płaskich kawałków żelaza
zgiętych tak by pasowały do kopyt końskich
umieszczonych na gorąco pod dolną powierzchnią kopyta
i umocowanych za pomocą gwoździ

Na zakończenie przełożyłem na Poczję Semantyczną jeden wiersz z NURSERY
RHYMES, śpiewanych dzieciom przez angielskie matki, —

*TAFFY WAS A WELSHMAN,
TAFFY WAS A THIEF,
TAFFY CAME TO MY HOUSE,
AND STOLE A LEG OF BEEF.
I WENT TO TAFFY'S HOUSE,
TAFFY WAS NOT AT HOME;
TAFFY CAME TO MY HOUSE
AND STOLE A MARROW-BONE.
I WENT TO TAFFY'S HOUSE,
TAFFY WAS IN BED;
I TOOK THE MARROW-BONE,
AND BROKE TAFFY'S HEAD. —*

„Dla nas”, powiedziałem na wstępie, „dla nas dorosłych słowa tego Nursery Rhyme
zatraciły w dużym stopniu swój sens, stały się konwencjonalnymi znakami jakiejś raczej
bezosobowej rzeczywistości. Cóżbyśmy powiedzieli jednak gdyby się okazało, że w
umyśle dziecka rejestrują się one właśnie tak jak w tym MOIM PRZEKŁADZIE NA
POEZJĘ SEMANTYCZNĄ — ?

Taffy był rodem z Walii

Taffy był osobą która zajmuje się zabieraniem

w sposób niezgodny z prawem
własności należącej do kogoś innego

i przeznaczaniem jej dla swego własnego użytku i celu

Taffy poszedł do konstrukcji utworzonej z rozmaitych materiałów

mającej ściany

dach

drzwi

& okna służące do wpuszczania światła i powietrza
z zewnątrz do środka

wszedł do tej konstrukcji która służyła mi za mieszkanie

I wziął

w sposób niezgodny z prawem

jedną z kończyn martwego ciała pewnego wołu

oporzadzonego

i sprzedanego przez rzeźnika

Poszedłem do konstrukcji utworzonej z rozmaitych materiałów

mającej ściany

dach

drzwi

& okna służące do wpuszczania światła i powietrza
z zewnątrz do środka

wszedłem do tej konstrukcji która była mieszkaniem Taffy'ego

Taffy'ego nie było w niej

Taffy poszedł do konstrukcji utworzonej z rozmaitych materiałów

mającej ściany

dach
 drzwi
 & okna służące do wpuszczania światła i powietrza
 z zewnątrz do środka
 wszedł do tej konstrukcji która była moim mieszkaniem
 I wziął
 na sposób niezgodny z prawem
 część szkieletu wołu
 zawierającą w sobie jamę
 wypełnioną tłustą substancją
 tkanką naczyniową
 która produkowała była czerwone ciała
 krwi wołu

Poszedłem do konstrukcji utworzonej z rozmaitych materiałów
 mającej ściany
 dach
 drzwi
 & okna służące do wpuszczania światła i powietrza
 z zewnątrz do środka
 wszedłem do tej konstrukcji która była mieszkaniem Taffy'ego
 Taffy leżał na meblu składającym się z materaca
 & z drewnianej konstrukcji podtrzymującej materac
 Wziąłem tę część szkieletu wołu
 tę część szkieletu
 zawierającą w sobie jamę
 wypełnioną tłustą substancją
 tkanką naczyniową
 która produkowała była czerwone
 ciała krwi wołu

I nagłym mocnym uderzeniem rozłupałem
 tę część ciała Taffy'ego
 która mieściła się na jego stosie pacierzowym na górze
 i zawierała olbrzymią masę komórek nerwowych
 funkcjonowanie których
 jest
 myśleniem

XIb

Wspomniałem już o tym, że mój występ zyskał sobie słuchaczy, co wyrażone zostało za pomocą klaskania w dłonie, okrzyków itd. To prawda, czasami były one jakby ironiczne, pod koniec zaś parę osób, naśladując dźwięki wydawane przez krowy, zaczęło wołać głośno: „Buu!”, aby w ten sposób wyrazić swe niezadowolenie z mojej osoby czy też z mych przekładów na Poezję Semantyczną, — wszystko to jednak nie mogło zepsuć tego błędnego uczucia ulgi, jakie spłynęło na mnie w chwili w której uświadomiłem sobie, że tę nieoczekiwaną i raczej dziwną przygodę mam już za sobą.

Dwaj panowie we frakach uścisnęli mi rękę i znikli.

Rozglądałem się za Bayamusem, nie mogłem go jednak dojrzeć wśród publiczności opuszczającej teatr.

Jedna z elektrycznych żarówek, zawieszonych w górze nad moim stołem, — zgasała.

Bileterka w niebieskiej liberii stanęła przede mną i podała mi małą kartkę papieru:

„Dlaczego nie zaśpiewałeś pieśni studentów z Q.L. w przekładzie na P.S., — o co Cię prosilem?”

Bayamus”.

Rozejrzałem się znowu wokoło, nie zobaczyłem go jednak.

„Co za zachowanie się”, rzekłem sam do siebie, „zadawać komuś pytania i zniknąć przed otrzymaniem odpowiedzi!”

Młoda kobieta w czerwonej sukni podeszła do mnie. Towarzyszył jej jeszcze młodszy mężczyzna.

— Mamy „bottle party” dziś wieczór, — rzekła, — będzie paru malarzy i poetów. Chciałby pan pójść z nami teraz? Jedziemy samochodem wprost stąd...

Wciąż jednak rozglądałem się za Bayamusem.

— Żałuję bardzo, — odpowiedziałem, — ale mam już umówione spotkanie.

— Jaka szkoda! — ona na to, — Pański przyjaciel, Bayamus, będzie także.

Chciałem powiedzieć, że w takim razie pojadę chętnie z nimi, lecz w tej samej chwili poczułem, że nie mogę się poruszyć. Nogi moje były jakby zamrożone, stopy zaś jakby przyklejone do podłogi. — Ach, jeśli tak... — zacząłem, i nagle poczułem falę ciepła, spływającą powoli po moim udzie aż do zgięcia z tyłu, za kolanem, a potem po łydce aż do kostki i do mego lewego bucika, i skarpetka moja stała się natychmiast mokra.

Młoda kobieta w czerwonej sukni szybko, nerwowo wciągnęła powietrze w swe białe, delikatne nozdrza.

— Coś tu śmierdzi! — rzekła.

Wtedy, i to z prawdziwym przerażeniem, zrozumiałem że coś tam jest nie w porządku ze zwieraczem mego pęcherza moczowego, i że to uczucie fali ciepłej spowodowane zostało przez płyn, wydzielony przez moje nerki, przeniesiony przez moczowód do pęcherza i, następnie, usunięty z mego ciała przez cewkę. Wiedziałem, że składał się głównie z wody oraz z pewnych odpadków, niewykorzystanych przez mój metabolizm. I rozumiałem, że to drobnitkie cząsteczki, nie większe być może niż 10^{-10} grama, oraz gazowe molekuly tego właśnie gazu znalazły się w nosie młodej kobiety w czerwonej sukni, pobudziły zakończenia jej nerwu węchowego, wzniciły w nim impulsy, i wywołały w centrum nerwowym jej mózgu owo wrażenie zapachu, którego charakter „nieprzyjemny” spowodowany był, tak sądziłem, głównie tym, że wyparowane molekuly były molekulami bezbarwnego, gryzącego, rozpuszczalnego, alkalicznego gazu, zwanego amonem.

— Ach, jeśli tak, — zacząłem znowu, starając się mówić jak najspokojniej, — żałuję, że nie mogę pójść z państwem teraz. Gdyby jednak zechciała pani zostawić mi adres, przyszedłbym za jakąś godzinę.

— Doskonale! — odrzekła. A towarzysz jej wyrwał kartkę ze swego notesu, napisał na niej kilka słów i położył ją na stole przede mną.

— Liczymy na pana!

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Za godzinę! — powtórzyła.

— Za godzinę! — powtórzył jej młody towarzysz.

— Za godzinę — odpowiedziałem.

Kiedy już poszli sobie, poczekałem jeszcze chwilę a potem ostrożnie, drobnymi, szybkimi pociągnięciami nosem, badałem zapach wokół mnie. Tak, powietrze pachniało amonem. Serce zaczęło bić mi bardzo szybko i poczułem, że zimny pot wystąpił mi na czoło. „No dobrze”, powiedziałem sam do siebie, „przede wszystkim nie wpadajmy w popłoch. Spokój. Jeszcze będziesz mógł rozważyć to wszystko, potem. Narazie spróbuj myśleć o czymś innym”. I zacząłem udawać przed sobą samym, że nic się nie stało; i zacząłem myśleć o czymś innym. „Mam już zupełnie dość...” — to jest to co zacząłem myśleć — „Mam już zupełnie dość nas wszystkich, moi dobrzy ludzie. Mam już dość Ciebie, Jezusie Chrystusie, i ciebie, Nielsie Bohr, i siebie samego także mam już dosyć. Mam już dość Nauki Chrystusa, która w ciągu tych 2.000 lat okazała się najgorszą metodą oduczania ludzi od zarzynania się wzajemnego, a najlepszą, być może, metodą uczenia ich hypokryzji; i nie mogę poradzić nic na to, że mam już dość także i Nielsa Bohra wraz z jego cudami atomowymi, nawet

jeśli mi ktoś dowiedzie o ile to lepiej jest skończyć wojnę za pomocą zrzucenia na Ziemię dwóch 'atomowych' bomb; i mam już dość siebie samego, i was, i nas wszystkich, z kilkudziesięciu setek rozmaitych powodów. Wiem, oczywiście, że to jest moja osobista sprawa, nie dotycząca nikogo, i nie narzucam jej nikomu innemu. Żyję jak inni, jem i piję jak inni, pracuję jak inni, kocham jak inni, chodzę do kina jak inni. A jednak coś tak małego jak młoteczek, kowadełko i strzemiączko, te maleńkie kostki naszego ucha środkowego, złamane jest we mnie. Ostatecznie i bezpowrotnie. Dziesiątki, albo dziesiątki setek, albo setki tysięcy ludzi żyją, pracują, jedzą, piją, dyskutują, chodzą do kina, i także mają coś w sobie ostatecznie i bezpowrotnie złamanego. Nikt nie wie o tym, i nikt nigdy się o tym nie dowie, ponieważ ukrywają ten fakt, że mają w sobie coś co jest złamane; ponieważ udają że są tacy sami jacy byli przedtem, przed wojną; i ponieważ chcą tę tajemnicę zabrać z sobą 'do grobu'. Jestem jednym z nich, i ich mam już dosyć także".

Druga żarówka elektryczna zgasła, ale nie stało się przez to o wiele ciemniej. Spojrzałem na stół przede mną i zobaczyłem na nim kartkę papieru. Napisane było na niej nazwisko jakiejś *Mrs.* i jej adres. Nie mogłem sobie przypomnieć skąd ta kartka wzięła się na stole. Poznawałem jednak doskonale stojące na nim dwa obszerne i przezroczyste naczynia. Pierwsze zawierało dwie istoty ludzkie, młode i połączone ze sobą za pomocą wiązadła mięsnego. Drugie: zwykły płód płci żeńskiej, w późnym stadium rozwoju. Okrągła płaszczyzna, na której stałem za moim stołem, otoczona była czterema kręgami platform, wznoszących się stopień po stopniu. Każda z tych platform opatrzona była barierą, wspartą na pionowych, czarno i biało malowanych prętach. Publiczności nie było już tam jednak.

Ta część sufitu, która znajdowała się bezpośrednio nad moim stołem, zbudowana była za pomocą umieszczenia w odpowiednich pozycjach 100 przezroczystych arkuszy twardej łamliwej substancji, sporządzonej przez stopienie różnorodnych krzemianów z innymi materiałami.

Miedzy stołem i tą właśnie przezroczystą częścią półkulistego sufitu, mniej więcej w połowie wysokości, na grubym, mocnym, z włókien lnu skręconym sznurze, wisiał szkielet kostny człowieka, z którego wszystkie miękkie tkanki odgniły czy też zostały usunięte.

Sznur wyciągnięty był pionowo w górę, po czym przechodził przez wyżłobienie w obwodzie małego kółka, zawartego w bloku, który przymocowany był do samego środka przezroczystej części półkulistego sufitu. Drugi koniec sznura nawinięty był na niewielki drewniany bębenek, opatrzony krótką korbką, i przymocowany do pilastra, obok drzwi.

„Co za dziki pomysł miał Bayamus", rzekłem sam do siebie, „wyjść z Theatrum Anatomicum i pętać się tyle godzin po ulicach po to żeby przyjść z powrotem do Theatrum Anatomicum i wejść doń innymi drzwiami. Chyba że..." pomyślałem po chwili, „chyba że to właśnie drzwi przez jakie wchodzimy są rzeczą najważniejszą. Albo też droga jakiej doświadczyliśmy przed przyjściem?" Była to myśl raczej banalna i poczułem niesmak, który spowodował, że zacząłem być zły na Bayamusa iż zostawił mnie tu samego.

Człowiek w białych spodniach, niebieskiej marynarce i żółtym plastronie pod szją, ukazał się we framudze drzwi. Ujął korbkę i zaczął ją obracać. Gruby, mocny, z włókien lnu skręcony sznur odwijał się z bębena, przechodził przez wyżłobienie w obwodzie małego kółka zawartego w bloku przymocowanym do samego środka przezroczystej części półkulistego sufitu, i szkielet kostny człowieka, z którego wszystkie miękkie tkanki odgniły albo też były usunięte, przesuwiał się powoli przez przestrzeń, w dół, aż do poziomu mojego stołu.

Chwyciłem kartkę z adresem, odwróciłem się szybko i wyszedłem.

Kiedy znalazłem się znowu na ulicy, rozejrzałem się wokoło i spośród wielu tysięcy bodźców jakie rzuciły się na mnie wybrałem natychmiast postać (gestalt) malowanej i oświetlonej wywieszki, noszącej znak

TOURING i nazwę: GREAT WINDOWS HOTEL.
CLUB

— Nie mamy wolnego pokoju, — rzekł portier.

— Tylko na bardzo krótko mi potrzebny, — ja na to.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Wszystkie pokoje są zajęte, — odrzekł.

— Jeśli mówię: na bardzo krótko, to mam na myśli: godzinę lub dwie, nie więcej, — ja na to.

— To nie jest tego rodzaju zakład, — rzekł zimno.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytałem.

Wziął gazetę z kontuaru, złożył ją we czworo, i położył na swym biurku.

— Nasi goście nie mają prawa przyjmować nikogo w swych pokojach, — odrzekł.

— Źle mnie pan zrozumiał, — ja na to, — nie mam zamiaru nikogo przyjmować.

— I chce pan pokój tylko na godzinę?

— Tak — odrzekłem.

Patrzył na mnie ostro i badawczo. Byłem pewien, że podejrzewał mnie iż szukam miejsca w którym bym mógł spokojnie popełnić samobójstwo lub coś w tym rodzaju.

— Czy ma pan bagaż ze sobą? — spytał.

— Panie, — ja na to, — walizki są na dworcu. Mój pociąg odchodzi za trzy godziny. Czy nie mam prawa wynająć pokoju na dwie godziny? Płacę za całą dobę. Z gór. Ale proszę nie trzymać mnie tu na stojąco, ponieważ chcę wziąć natychmiast kąpiel i spać godzinę.

Podniósł się ze swego wysokiego stołka.

— Bardzo przepraszam, Sir, — rzekł. Po raz pierwszy nazwał mnie: „Sir”. — Pokój Numer 7, Sir! — i zadzwonił na służącego.

Poszliśmy na pierwsze piętro, do pokoju Numer 7. Natychmiast rozbrałem się, opróżniłem kieszenie, dałem moje spodnie (i marynarkę także) do odprasowania, i wziąłem kąpiel. A potem wróciłem do pokoju i położyłem się na olbrzymim, drewnianym, rzeźbionym łóżku, doskonale imitacji Wielkiego Łoża z Ware (Hertfordshire, England).

XId

Wtedy jednak drzwi otworzyły się i wszedł przez nie służący, niosąc moje ubranie. Włożyłem je na siebie i zacząłem wyciągać moje mięśnie za pomocą prostowania rąk i nóg; jednocześnie, na skutek odruchowego skurczenia się odpowiednich mięśni, usta moje otworzyły się szeroko. Spojrzałem wokoło i poczułem że nie mam tu już więcej nic do roboty, w tym obcym pokoju Numer 7. Po zapłaceniu rachunku zorientowałem się, że jeżeli kupię papierosy to nie będę już miał na autobus. Nie wszedłem już więc do sklepu z papierosami i, mimo to, poszedłem pieszo.

(dokończenie nastąpi)



DEZERTER

Aby zdarzeniom, jakie obecnie rozgrywają się na terenie Niemiec, przydać zarówno perspektywę jak i historyczną ciągłość, może warto a może i trzeba przeczytać raz jeszcze parę studiów krytycznych Walthera Rathenaua, które ukazały się po listopadzie 1918 r. A trzeba jeszcze dlatego, że ta postać owiana aureolą męczeństwa, reprezentująca jakoby najszlachetniejsze tendencje niemieckiego narodu, przemawia z tych krytycznych opracowań językiem „dobrego Niemca”, t.j. takim, od którego coraz głośniej na arenie politycznej świata.

Przykro stwierdzić, że jest to irytująca, nieprzyjemna lektura, mimo że wnikliwość i erudycja autora, w parze z dbałością o stronę formalną, składają się raczej na wysoki poziom introspekcji rozpatrywanych przez niego problemów. Odkłada się te studia z myślą, że pisał je czarny reakcjonista a po trosze i mistyk, któremu pochodzenie przeszkadzało w jednolitym uszamerowaniu swego duchowego munduru. Jawna pochwała barbarzyństwa godziłaby przede wszystkim w jego — Rathenaua — istnienie. Toteż kruczy, kluczy, wiję się i wyklamuje, aby wszystko to, co później Hitler przypieczętował „jednym krótkim gniewem” — wybronić przed światem i historią. Tak powstają jego zawile kombinacje intelektualne, których jednym celem jest myślowe pogodzenie napastliwości niemieckiego państwa z wzorową solidnością najlepszych, pod słońcem „owieczek”. Kazuistyka, tendencyjnie bałamutny dobór argumentów, łącznie ze słodyczą chrześcijańskiej etyki, składają się na przykry obraz intelektualnej szarlatanerii.

Głośna formuła takiego właśnie typu, która przypadła kiedyś do gustu wielu demagogom, nie tylko niemieckiego pochodzenia, brzmi:

„Nienawidzę wojny ale bardziej jeszcze nienawidzę dezertera. Jeżeli wojny zdławić nie mogę — pomocny jestem w obronie kraju”.

Wielostronny zasięg tych słów, skomplikowana sieć aspektów, jakimi je autor świadomie omotał oraz złożony rodzaj okupujących nas sugestij, warte są omówienia. W tych paru słowach zawarta jest cała metoda pisarska człowieka, który zginął z rąk swoich konsekwentnych uczniów.

Wojna, jako krańcowa forma gromadnych sporów, jest możliwa tylko w wypadku zastosowania gwałtu, przemocy wobec tych, którym się porucza jej wykonanie. Jedną z popularniejszych form moralnego nacisku jest demagogiczna interpretacja takich pojęć jak honor i obowiązek. Sztuczne rodmuchiwanie fałszywej romantyki wojny, uroczysta celebrowanie wszystkich możliwych form karnego posłuchu, prowokują groźną psychozę, zagłuszającą w człowieku naturalne przywiązanie do życia.

Przemilcza się prawdziwe cele wojny, tak samo jak przemilcza się, że większość walczących jest za pokojowym współżyciem ludzi. Moralna klęska człowieka, spowodowana zbrojnym starciem narodów, zaczyna się nie od konieczności zabijania ale już od — werbunku.

Bertrand Russel, wymieniając największe nieszczęścia jakimi doświadcza człowieka los, na pierwszym miejscu stawia przysmę walki na froncie. Ten sam autor przypomina, że Chrystus — niedościgły symbol ludzkiej doskonałości — idąc na śmierć płakał, zawodził i wzywając Boga wołał: „Dlaczegoś mnie opuścił”?

Żaś marszałek polny Archibald Wawell, obecny wicekról Indii, charakteryzując w świetnej monografii o gen. Allenby oblicze duchowe każdej naprawdę ochotniczej armii, mówi o awanturnikach, ludziach którzy w pokojowym, twórczym życiu nie znajdują dla siebie miejsca.

Taka jest nieklamana twarz wojny, której Rathenau jako „chrześcijanin” nienawidzi ale jako „dobry Niemiec” — uwielbia.

Dezerter wojskowy może z jakichś aktualnych powodów nie budzić sympatii ale analiza jego ludzkich pobudek zmusza do zwrócenia mu sponiewieranej godności, w ramach oczywiście etycznego poglądu na świat.

Lecz te proste a smutne, tak banalne, że aż żenujące prawdy mają dziś, kiedy nam Hitler przemocą narzucił swoje obłąkane rzemiosło, wiele stron wątpliwych, wiele podzwieków, których rezonans nie wydaje się tak czysty, tak jasny, jakby się tego po ich rozumowym materiale można było spodziewać. Jakikolwiek będzie ostateczny wynik tej wojny, zejdzie do grobu plugawy cień Hitlera który wcisnął nam do ręki karabiny, pomimo naszej zdecydowanej przeciwnej woli i tym karabinom i mundurom przydał tragiczną rację — ideowy w naszych czasach sens. Nie wolno jednak nie widzieć, że tylko „czasy pogardy”, moralnej degrengolady, zawodowego lajdactwa w życiu publicznym i zbrodniczej samowoli w dysponowaniu ludzkim życiem, zrodzić mogły Hitlera, wydać potwora, który po wytoczeniu ze świata oceanów lez i krwi „wykierował” nas ostatecznie na czarnych wyrobników śmierci.

Tych trosk i myśli nie miał Rathenau. Bo wojna go nie bolała, bolał — dezerter. Jego nienawiść do wojny, w podanym wyżej sformułowaniu, jest tylko zręcznie użytym okresem stylistycznym, aby przygasić drastyczne w jego ustach wyznanie o „potrzebie krwi”... To kamuflaż, dymna zasłona, spoza której wygląda niedobry wzrok feldfebla, ścigający dezertera za opuszczenie szeregów. Obce są mu pobudki, przyczyna, ludzka po prostu reakcja miłującego pokój i wolność człowieka — święty natomiast szpaler wyprostowanych niewolników, w służbie zachłannej nienawiści i chorej ambicji władania. Bo ta dusza junkra, którego pochodzenie, wykształcenie i interesy zmusiły do nałożenia maski chrześcijanina, dusi się z niewyżytej pasji błyszczenia. Bo rozrost niemieckiego państwa i jego przewodnia w świecie rola miałyby dla niego jak i każdego innego Niemca swoją wartość i smakowała dopiero wtedy, gdyby towarzyszyła jej świadomość zgniecenia ludzi i narodów, gdyby wzniosła się na karkach ujarzmionych.

Dezerter, jako żywe zaprzeczenie filozofii niemieckiego państwa, dokonuje w oczach Rathenaua haniebnej zdrady albowiem gwiżdże na wielkość „życiowego obszaru” Niemiec, ma w pogardzie styl wymusztrowanej bestii, rzyga z kadzidlanego dymu bohaterstwa, legendarnej śmierci i mimo woli demonstruje do jakiego stopnia jego bliskie, ludzkie cele nie pokrywają się z pruską „racją stanu”, z jej mistyką. To boli Rathenaua.

Pisarstwo jakie uprawiał Rathenau służyć musi pewnym ideałom; w przeciwnym razie jest ono grafomanią. Ideał pisarza to jego wizja rzeczywistości, „wymarzone” warunki społeczne i polityczne oraz odpowiadający im klimat duchowy i styl życia. Gatunek pragnień, niezależny od czasu i środowiska, jaki pisarzowi wyznaczył los. To jest ta zasadnicza miara w ocenie zjawisk, subiektywna próba, która wykazuje czy i o ile rozpatrywane zdarzenia są słuszne i to jest ta waga moralna, bez której nie podobna ustalić etycznego ciężaru faktów. Słowem, świecka religia, przenikająca człowieka w jego poszukiwaniu prawdy i w dążności do doskonalenia się.

Jakże wykrętnie i jak nedorzeczenie zarazem brzmią słowa: „Jeżeli wojny zdławić nie mogę — pomocny jestem w obronie kraju”. Tak jakby Rathenau liczył się kiedyś z możliwością „zdławienia wojny” własnym piórem. Inna rzecz, że gdyby pisarze niemieccy, tego, co on znaczenia, byli zdecydowanie przeciwni wojnie, można przyjąć, iż oblicze dzisiejsze Reichu miałoby lepszy grymas i pogodniejszą zadumę. Niestety jednak bierze się stąd, że większość tych ludzi pióra traktowała swój sprzeciw za nieodzowną niekiedy szminkę, za środek kosmetyczny do ubarwienia gniewnej, napastliwej twarzy. I oto sztuczna miła, maska i fałsz à la Rathenau właśnie.

Nie można zdławić wojny gdy się głosi, że to jest niewykonalne, nie można zdławić wojny, przechodząc do obozu, w którym jest ona naj-milszą formą bytu. Nienawidzi jej naprawdę tylko ten, kto tę nienawiść przyjmuje za podstawowe zagadnienie swojego sposobu myślenia, swojej moralnej wobec świata postawy. I nie pomogą tu żadne dialektyczne meandry. Stosunek do wojny jest kwestią ideału a nie panującej rzeczywistości. To wiara, tęsknota, wyznanie, coś czym uczciwy człowiek nie handluje.

Mógł nas Hitler, jak się rzekło, zmusić do uzbrojenia, do walki z nim i w obronie zagrożonego życia zerwał się świat nasz do rozprawy z bandytyzmem. Ale o jakiej "obronie" mówi Rathenau? Czy aby o tej z czter-nastego roku? Niewatpliwie. I tu już jego przewrotność nie ma charakteru indywidualnego lecz jest zbiorowym lęstwem całego niemieckiego narodu, któremu stara się on w świecie intelektualnym przypiąć bohaterskie skrzydła. Na przestrzeni całego ostatniego stulecia Europa krwawi się i męczy z powodu rabunkowych wypadów niemieckich janczarów — a oni, nieboracy, tylko się bronią...

Prawdziwy ideał Rathenaua to kupa ludzkiego ścierwa, kula ziemską poruszająca się w takt żołnierskiego kroku a nad nią trzepot chorągwi: „Deutschland ueber alles”...

Ale kłamstwo jest niebezpieczne, śliskie i ma największego wroga w czasie. Wszystko zatem co Rathenau zełgał, czy przechytrzył, było niczym innym jak samobójstwem. Zwolnionym naciśnięciem cyngla rewolweru. Jest on najtragiczniejszą postacią okresu przejścia, w pochodzie 100-milionowego narodu do teutońskich lasów. Niemiecki Rejtan, który na szlaku zdrady ludzkich ideałów bronił narodu przed klątwą historii, a w którego obnażoną pierś wymierzyły bratnie ręce kule gniewu i pogardy.

Wyszukane kłamstwo Rathenaua stało się niepotrzebnym balastem gdy naród, na takich szkolony wzorach, dojrzał do objawienia świata „nowej prawdy”; hitlerowskiej „Groesse der Luege” — tej mądrości życiowej przestępców i intelektualnego prymitywu.

Pisarz wyklamujący notoryczne gwałty i zbrodnie jest, ze społecznego punktu widzenia, zjawiskiem najszkodliwszym, ponurym przykładem niemoralności, fałszywym prorokiem, który budzi siły ducha wrogie pisar-skiemu zadaniu — wrogie ludzkości. Tak więc śmierć Rathenaua do-konała się w sferze etyki zanim jeszcze ci, co pouczeni intelektualizmem tego rodzaju, „wykończyli” go fizycznie.

Lecz nie przestanie on, jako człowiek błędzący na skrzyżowaniu dróg, reprezentować tego częstego dziś gatunku tragicznych Europejczyków, którzy wchłonawszy w siebie ożywcze powietrze szczytów ludzkiego ducha, wysługują się do czasu ich gwałtownego usunięcia, ciemnym siłom obłądu i niewoli. I nie kto inny tylko oni właśnie wyjdą nam na spotkanie, gdy ucichnie zgiełk wojny i trzeba będzie współżyć z narodem, który zgrupował się w samym sercu Europy. Dlatego pamiętać należy, że zakres działania tych ludzi jest niewielki a rola niechlubna i trzeba liczyć się z ich krótkim życiem... Rozczepieniem duchowym i ideowym wędrówkom tych ludzi towarzyszy na co dzień dwulicowość, wynikająca z braku jednolitego, trwałego stopu moralnego, a złudzenie wewnętrznej wolności, jakiej w praktyce ulegają, prowadzi do życia bez dogmatu. Filozofię zastępuje tu dyalektyka, a wiarę — rezonerstwo. Stąd ich skłon-ność do dyplomacji, chętny udział w życiu politycznym, gdzie zharmonizo-wana postawa, niezłomny hart ducha, ustępują miejsca elastycznej swo-bodzie i giętkiej użyteczności — gdzie odżywają i kwitną ich pytyjskie wyrocznie.

W czarodziejsko pięknym „Rozważaniu psa” Franza Kafki, czyta się następującą refleksję:

„Dlaczego nie czynię tak jak inni: żyję w zgodzie z moim narodem i pomijam wszystko, co mogłoby tę zgodę zakłócić; przeoczą je jako nieistotny błąd w dużym rachunku i zwracam się niezmiennie ku temu, co łączy ze szczęściem a nie ku temu, co nas nieodparcie i wciąż od nowa z gromadnego koła wyżera”.

To bardzo smutne wyznanie jest chlubnym świadectwem pisarskiego zawodu.

Przestroga Goethego: „Leb mit der Welt in Frieden”, miała na celu pouczyć jak nieludzko ciężki jest konflikt osobowości z gromadą, który stanowi sferę i atmosferę twórczej działalności człowieka pióra. Wszystko bowiem co pisarz walczący ma istotnie światu do powiedzenia, to wykazanie słowem celnym i jasną myślą o ile skomplikowana praktyka codziennego życia odbiega od prawdy, o ile praktyka ta sprzeczna jest z duszą człowieka i z jego ludzkim na ziemi zadaniem. Dlatego społeczna rola pisarza, wymagająca specjalnych uzdolnień a nade wszystko odwagi i żarliwego ukochania prawdy, prowadzi niechybnie do trwałej niezgody ze zbiorowością — do konfliktu z panującym prawem i władzą. Ale samotność, na którą skazuje się dobrowolnie pisarz, jest jedynym, naprawdę zdrowym powietrzem dla jego kondycji psychicznej, dla jego wrażliwości. Stąd dopiero, z tego tragicznego oddalenia, widoczne jest życie we właściwej perspektywie, stąd dopiero możliwa jest obiektywna ocena zdarzeń, gdy uwolnione od doraźnych interesów rzeczywistości, ujawniają one swoją moralną i historyczną treść. Tak oto z piórem związana jest walka i wrogi stosunek otoczenia, które pisarzowi ma za złe, że wyłamuje się ze zbiorowej solidarności, że nie idzie na konwencjonalną zмовę, że głośno nazywa po imieniu i pod światło wynosi to, co nie znosi ani nazwy ani światła. Lecz jego głos nawołujący, płomienne słowo, zapada głęboko w uszy i w serca niechętnych mu ludzi i wraca do życia w postaci ulepszonych myśli i szlachetniejszych porywów człowieka.

Oto wzruszająca strofa Grillpartzera, dająca wyraz dumie, osamotnieniu i przynależności pisarza do świata jego twórczej wizji:

„Mag m.ine Zeit mich bestreiten,
Ich lasse es ruhig gescheh'n;
Ich komme aus anderen Zeiten
Und hoffe in andere zu geh'n”.

„I nie miłować ciężko i miłować” taki byłby ostateczny sens naszych rozważań, gdy się pomyśli o wszystkich konsekwencjach pisarstwa. Zarówno bowiem kłamstwo jak i prawda, przez którą rozumiemy tu obronę człowieka przed krzywdą, powodują tragiczną niezgodę między pisarzem a zbiorowością. Pióro i myśl — formujące nas słowo — to wieczny niepokój, nawiedzający ludzi i narody, skłonne z natury do statycznej postawy, przywiązane do starych, tradycyjnych form bytu. Ale służenie niefałszowanym interesom człowieka, pogłębienie jego świadomości i godności ludzkiej, przydaje życiu pisarza heroiczny akcent, kłamstwo zaś, nawet popłatne, jest gorzkim chlebem, który pisarz spożywa w poniżeniu. Toteż droga jaką obiera jest miarą i obrazem zarówno jego siły jak i jego wartości.

Nie ma wolnego życia bez wolnego, niezależnego słowa. I tak już zostanie, bo tak być musi, że słowo to rodzi się tylko w opuszczeniu, w serdecznej samotności. Tam, gdzie niezmacona, nieskorumpowana myśl, wybiega nad życiem tęczą uwalniającą burzy. Pisarz zatem, który zamiast piętnować — broni, szuka zgody ze społeczeństwem, zgody której nie ma i nie będzie. I pisarz taki, choć wierny swojej idei, swojemu „zapatrzeniu”, dopuszcza się zdrady, nie tylko wobec przyjętych na siebie obowiązków, nie tylko wobec wysokich zadań swojego fachu — ale wobec człowieka.

Pisarz taki jest dezterterem.

CO TO JEST CYWILIZACJA ZACHODNIA?

Nie tylko słowa: demokracja, faszyzm i reakcja bywają nadużywane bez właściwego treści ich zrozumienia. Takim pojęciem którym szermuje się chętnie a najczęściej bez zrozumienia jest także pojęcie cywilizacji zachodniej. Otóż na powiedzenie „Ex oriente lux” odpowiada się zwykle z poczuciem wyższości „Ex occidente lex”, mówi się o Spenglerowskim „Untergang des Abendlandes”, polemizuje się z rosyjską teorią „zgniłego Zachodu”, twierdzi się, że Polska mimo wszystko powinna pamiętać, że należy do cywilizacji zachodniej. Ale co to wszystko znaczy? Każde pojęcie historyczne przez to samo już, że powstaje na skutek historii, a więc czegoś, co rozwija się w czasie, musi być zmienne jak sam czas, który te historię ciągle na nowo tworzy. Dalszym ciągiem gotyckich katedr nie są neogotyckie kościoły budowane w XIX wieku według tych samych proporcji architektonicznych, ale już wyzute z średniowiecznej treści. Nie są dalszym ciągiem świątyń ateńskich czy też gmachów publicznych z Forum Romanum kamienice czynszowe, budowane w klasycznym stylu z kolumnami i frontonami do starych podobnymi. O wiele bardziej dalszym ciągiem gotyckiej prakatedry na Wawelu są dobudowywane, renesansowe czy nawet barokowe przybudówki. To samo co widzimy na tych wziętych z architektury przykładach dotyczy i kultury pojętej jako pewna całość organiczna, ale oczywiście tylko całkowita w czasie. Czym innym było pobożne bohaterstwo krzyżowego rycerza jadącego walczyć o wspólną dla wszystkich ludzi Zachodu świętość Grobu Chrystusowego, czym innym są dyskusje naszych zachodnich sojuszników o tym, czy Palestyna ma należeć do Żydów czy Arabów, ale w każdym razie nie do Chrześcijan.

Czym innym była wspólna wszystkim narodom Zachodu wiara w głoszone przez Wielką Rewolucję Francuską Prawa Człowieka, czym innym jest obrona liberalnej gospodarki kapitalistycznej, która jako forma przejściowa rzeczywiście także się z tej Rewolucji narodziła. Tutaj, jak we wszystkim w życiu trzeba przede wszystkim umieć odróżniać rzeczy ważne od wtórnych i pobocznych objawów, które ludzie krótkowzroczni uważają za sedno sprawy.

Zacnijmy więc od początku. Kiedy zrodziło się pojęcie cywilizacji zachodniej? W przeciwieństwie do zamkniętych w sobie kręgów kulturalnych starożytnego Egiptu, Chin, Arabii, czy też Meksyku cała reszta cywilizowanego świata ma pochodzenie cywilizacyjne wspólne, na które składa się zarówno filozofia grecka, jak prawo rzymskie (t.zn. też bizantyjskie), chrześcijaństwo jako dalszy ciąg monoteizmu żydowskiego, no i wreszcie ośmieszona przez aryjską teorię hitlerowską, ale istniejąca mimo wszystko wspólna genealogia ludów białych z twórcami prapreligii Iranu i Hindostanu. Do tych zasadniczych czterech elementów: greckiego, rzymskiego, semickiego i aryjskiego dochodzą jeszcze miejscowe tradycje celtyckie, germańskie czy słowiańskie i dopiero z tego wszystkiego razem składa się to pojęcie cywilizacyjne, które zwykliśmy nazywać kulturą Zachodu. Już wobec tego nie może być nic wspólnego pomiędzy tym, tak złożonym z przeróżnych elementów pojęciem a wąskim widnokregiem jakiegos zachodnio-europejskiego bloku, czy też nowej, atlantyckiej kultury europo-amerykańskiej, o której nie dawno pisał Malraux. Tak jak przez wyeliminowanie elementu chrześcijańsko-żydowskiego czysta kultura germańska przestała być kulturą w ogóle, a stała się kultem barbarzyństwa, tak nie do pomyślenia jest Rzym bez Bizancjum, albo po prostu bez Grecji, bo przecież Sokrates uważany za swego zgodnie przez wszystkich czcicieli Zachodu, był Grekiem, a więc wschodnio-europejczykiem, a rzymskie prawo Justyniana było właściwie prawem bizantyjskim. Tak samo dzisiaj

wspólna myśl filizoficzna cywilizowanego świata rozszepiła się na dwa zasadnicze kierunki: bezpośredni od Hegla we wszelkiego rodzaju nacjonalizmy i mesjanistyczne misje poszczególnych państw narodowych i też od Hegla, ale pośrednio przez Marksa w materialistyczne pojmowanie dziejów u międzynarodowych socjalistów, a przede wszystkim sowieckich Rosjan.

Dalszym ciągiem wspólnych początków musi być i wspólna dalsza historia tegoż cywilizacyjnego kręgu do którego należą zarówno ogłoszone przez Rewolucję Francuską Prawa Człowieka, jak Konstytucje Anglii i Ameryki, oraz wreszcie Rewolucja Narodów Sowieckiej Rosji. Naturalnie, że są na tej wspólnej drodze nierówności i opóźnienia. Celtowie wcześniej osiągnęli wyższy poziom cywilizacyjny niż Germanie, a ci choć nigdy nie przestali być obcym ciałem w rodzinie narodów kulturalnych, cywilizacyjnie są mimo wszystko starsi od Słowian. Basen śródziemnomorski stał się wcześniej głównym ośrodkiem kultury niż Ocean Atlantycki, a włączenie Rosji do Europy musieli przemocą narzucić Piotr Wielki i Lenin. Nie znaczy to jednak aby ideały najistotniejsze kultury miały być przez te nierówności w rozwoju z gruntu inne. Tak jak nie ma żadnej kultury szlacheckiej, mieszczańskiej, ludowej czy też proletariackiej, a jest tylko jedna i ta sama kultura ludzka rozmaita w stopniu rozwoju poszczególnych klas, tak i nierównomierne wkraczanie poszczególnych narodów we wspólny krąg cywilizacyjny nadaje kulturom rozmaite stopniowanie, ale nie zmienia ich zasadniczej treści.

Ponieważ jedno z głównych nieporozumień w tej kwestii pochodzi z rozróżniania słów kultura i cywilizacja, chciałbym przede wszystkim pod tym względem oczyścić przedpole. Według mnie słowa kultura i cywilizacja powinny być używane jako zupełnie równoznaczne. Po francusku cywilizacja oznacza coś więcej, gdyż „culture” znaczy po prostu hodowla, po niemiecku „Kultur” jest pojęciem nadrzędnym, a cywilizacja używana jest raczej w znaczeniu udoskonalenia codziennego życia. Po polsku są to i powinny być synonimy różne wprawdzie co do swego pochodzenia, ale równoznaczne, gdyż cywilizacja niekulturalna nie jest wcale cywilizacją, a kultura niecywilizowana nie jest w pełni kulturą. Ludzkość dąży do cywilizacji i kultury równocześnie i dlatego rozróżnianie tych dwóch pojęć nie wyjaśnia niczego, a przeciwnie z prostego myślenia robi tylko zawiłą scholastykę. W Polsce przenikanie cywilizacji czy kultury, jak kto woli, z Zachodu odbywało się zawsze równocześnie. Było tak przez przyjęcie chrześcijaństwa, jak podczas złotego wieku odrodzenia, w tym wieku rewolucji przeciwko średniowiecznym autorytetom. Tak było podczas wieku oświecenia, kiedy przez naszą Konstytucję 3 Maja stanęliśmy obok Francji i Ameryki. Tak jest również i obecnie kiedy w wieku triumfującego socjalizmu Polska dąży do kultury i cywilizacji dla swych najszybszych mas razem z anglosasami i Rosją. W rosyjskiej umysłowości były zawsze dwa odrębne kierunki, tak zwane „słowiaństwo” i „zapańnicstwo”, kult rodzimych pierwiastków i dążenie do kultury, która nazywała się w Rosji zachodnią, a która w rzeczywistości była zawsze jedyną, wspólną kulturą tego kręgu, do którego i Rosja należy. Epoki tatarskiej niewoli, krwiożerczych rządów Iwana Groźnego czy też tępej biurokracji Aleksandra III to odwrót Rosji od Zachodu, który wtedy nazywa się w Rosji zgniłym, a twórcze epoki Piotra Wielkiego czy Lenina tworzą to poczucie, że Rosja jest pełnoprawnym i równorzędnym członkiem wspólnej rodziny europejskiej. Wtedy Rosja nie korzysta tylko ze wspólnego skarbcza nagromadzonej kultury, ale wnosi i współtworzy nowe, rzeczywiste wartości. Wspaniałe zwycięstwo sowieckiego człowieka nad hitleryzmem, odniesione wspólnie z wolnymi obywatelami Anglii i Ameryki, to najlepszy dowód potwierdzający tę wspólnotę dążeń cywilizacyjnych najmłodszej z europejskich rewolucyj, wielkiej październikowej rewo-

lucji rosyjskiej. Przyświecał jej wielki cel ażeby nie tylko drobne elity, ale najszerze masy ludowe miały lepsze i bardziej ludzkie życie. O to walczono zarówno w Anglii w XVII wieku, jak we Francji w XVIII stuleciu, ale w tej walce zwyciężyła dopiero Rosja, a dziś powtarza się to we wszystkich tych krajach, o których się mówi, że zdradziły pojęcie cywilizacji zachodniej na rzecz znienawidzonych miazmatów Wschodu. To są cele i osiągnięcia wszystkich tych wschodnio-europejskich narodów, które jak nowa Polska rozumiały, że cywilizacja i kultura mogą stać się dobrem powszechnym dla wszystkich członków narodu. Ale na to trzeba było powszechnej przebudowy społecznej. Dlatego służenie kulturze zachodniej dzisiaj to przede wszystkim walka o ludzkie prawa do życia ekonomicznego, bez poprawy którego nie może być w ogóle demokracji, a że żelazni żołnierze Cromwella, francuscy sankuloci, czy też rosyjscy czerwono-gwardziści nie zawsze byli wzorowymi, parlamentarnymi demokratami, to już trudno, bo bez hasła „fraternité ou la mort” nie byłoby w ogóle braterstwa między ludźmi. Chodzi tylko o to ażeby rozróżniać cel od środków, a strategię od taktyki. Dla wszelkiego rodzaju bonapartyzmów i hitleryzmów gwałt i totalistyczna dyktatura to cel sam w sobie, dla rewolucji to tylko konieczna ale przemijająca faza walki o wolność. W Polsce nie mieliśmy wprawdzie słowianofilstwa w rodzaju rodzimej reakcyjności ostatnich carów, ale w najsmutniejszej naszej epoce, w wieku XVII szlachecka kontrreformacja i rodzący się szowinizm wytworzyły tak zwany sarmatyzm, co to kazał i palić na stosie heretyków i sadzać na pal buntowników pańszczyźnianej czerni i co najdziwniejsze czynić to w imię autorytetów, które uważane wtedy były za najwyższe dobro kształconych na starorzymskich ideałach republikańców. Tutaj zaczyna się patologiczna wprost paradoksalność polskiej umysłowości. Z pełnymi ustami brutosowych aforyzmów skazywano na śmierć walczących o swoją wolność kozaków, a mając mózgi przepelnione kultem starożytnej i chrześcijańskiej mądrości płodzone „nowe Ateny” księdza Chmielowskiego, które w średniowieczu byłyby bardzo ciekawe, ale wydane w XVIII-wiecznej Polsce są przerażające, jako dowód naszego kulturalnego zacofania. Odczucie sarmatyzmu w dużej mierze wzmożone przez talent Sienkiewicza, to jedno z głównych nieporozumień w określaniu przez polskich emigracyjnych ideologów świętego dla nich i dla nas pojęcia zachodniej kultury w Polsce. Ale trzeba pamiętać, że nie był obrońcą zachodniej cywilizacji książę Jeremi Wiśniowiecki, ani nawet książę Marek od Konfederatów Barskich. Konfederaci Barscy byli równie anty-cywilizacyjni i anty-zachodni, jak i reakcyjniści spod znaku Targowicy.

W XII wieku szermierzem zachodniej cywilizacji był fanatyczny i kastowy rycerz, w XVIII wieku był to farmazoński oficer z pierwszej narodowej armii wysłany na apostołowanie świata przez Rewolucję Francuską, a nie spłoszony emigrant rojalistyczny. Dzisiaj szermierzem kultury zachodniej jest uzbrojony obywatel amerykański i żołnierz czerwonej armii, niosący wspólnie na swych bagnietach ideały równości do Niemiec Junkrów, Kruppów i antycywilizacyjnych ideologów jak Rosenberg czy Nietzsche. Zbyt jednostronne odczuwanie międzynarodowości rewolucyjnej nazywa się w Rosji trockizmem, są to ich wewnętrzne spory, dla Polski każda przebudowa społeczna jest polska i ponadnarodowa równocześnie, bo polska historia mimo sarmatyzmu jest bardziej niż każda inna związana z wyzwoleniczą walką o wspólne sprawy świata i dlatego tak się szczęśliwie dzieje, że kiedy kultura na drodze postępu robi wielki krok naprzód, Polska podąża zwykle w pierwszym szeregu. Kiedy zaś kultura cofa się lub zwalnia w swym biegu, by okrzepnąć, Polska niestety wypada z rytmu i zamiast iść z innymi powoli naprzód, odstaje i zostaje na szarym końcu. Kiedy w całej Europie po rządach feudalizmu nastąpiła supremacja społeczeństw mieszczańskich, to w Polsce, w której zresztą i właściwego feudalizmu jako szkoły hierarchicznej dyscypliny nigdy nie

było, pozostała tylko szlachecka swawola. To samo niebezpieczeństwo mogło grozić Polsce i dzisiaj, bo kiedy burżuazja europejska ustępuje miejsca klasie proletariatu robotniczego, w Polsce, która nie miała rozwoju gospodarki mieszczańskiej, znowu rządzący chcieli ta część inteligencji, która odziedziczyła pewne zalety, ale też i wszystkie wady dawnej szlachty. W epoce tworzących się silnych monarchii oświeconych my mieliśmy obskurantyzm saski, w okresie imperializmów kapitalistycznych nie było nas w ogóle na widowni politycznej, w czasie faszystowskich państw autorytatywnych Polska miała pół-dyktaturę, która nie będąc nigdy naprawdę faszystowską, dopiero u jej epigonów na emigracji powoli staje się taką. Natomiast w epokach rewolucyjnych Europy Polska idzie zawsze w pierwszym szeregu, czy to podczas Rewolucji Francuskiej i wynikłych z niej ruchów 1830 i 1848, czy też dziś gdy Polska jest znow w pierwszym szeregu, choć tego nie rozumieją ludzie bredzący, że warszawska Polska zdradza przez to rzekomo swoją zachodniość. Wprost przeciwnie, kontuszowa Polska mimo używania (na wół łacińskiej gwary, była do szpiku kości wschodnią, dzisiejsza proletariacka, chłopsko-robotnicza jest o wiele bardziej wierna tradycjom tego, co zwykliśmy nazywać kulturą zachodnią.

Na czym właściwie polega istota tej zachodniej kultury? Postarajmy się określić to pojęcie nie historycznie, a treściowo. Przede wszystkim chodzi o wiarę w człowieka uwalniającego się stopniowo od wszelkich tych autorytetów, które wprowadził sam stworzył, ale które nie zawsze potrafił na czas od siebie odrzucić. Potem chodzi o wiarę w postęp ludzkości, wynikającą z wiary w człowieka. Tak zwany zachodni człowiek wierzy, że ludzkość udoskonala się stopniowo i że suma szczęścia na świecie staje się przez to coraz większa. Na to trzeba ograniczać się przez dobrowolnie przyjęte prawa. Ta wiara w człowieka, w postęp, w szczęście i w konieczność prawa — to są zasadnicze podstawy naszej kultury, którą nazywamy zachodnią i która jest kulturą zarówno Europy, Ameryki jak i rewolucyjnej Rosji. Wszelkiego rodzaju kierunki wsteczne i hamujące są tej kulturze przeciwne, a wszystkie dotychczasowe rewolucje kulturę tę pogłębiały i rozpowszechniały. Dzisiaj dwa narody dążą najskuteczniej, choć różnymi drogami, do tych samych ideałów wiary w człowieka, w postęp, szczęście i w konieczność prawa — anglosasi i słowianie. Powstający w naszych oczach parlament świata jest tym forum, gdzie oba te prądy jednej i tej samej rzeki powinny się połączyć w jeden nurt. Wszyscy którzy temu się sprzeciwiają i podkreślają istniejące różnice są przeto przede wszystkim wrogami wspólnej kultury naszego cywilizacyjnego kręgu. Tak na przykład dopuszczenie ponad narodowych przedstawicieli związków zawodowych jako czegoś odrębnego od poszczególnych państw suwerennych byłoby czymś niesłychanie ważkim właśnie przez to, że mogłoby łączyć a nie dzielić. Zarówno w sowieckiej Rosji, jak w socjalistycznej Anglii, czy też w mimo wszystko demokratycznej Ameryce, praca jest pojęciem ważniejszym, niż narodowość i jeżeli tego nie uświadomili sobie jeszcze dostatecznie wszyscy, to wielka szkoda dla przyszłości Narodów Zjednoczonych, gdyż wywyższenie pracy jest czymś najbardziej wspólnym całemu Zachodowi w przeciwieństwie do wschodniej, azjatyckiej kontemplacji. Stanowisko Polski jest tu zupełnie jasne. Ale jakżeż można pogodzić kult dynamizmu pracy z pozornie szerzącym kult bierności pacyfizmem? Praca produkująca nowe wartości może być owocna tylko podczas pokoju, przy tym przyznać to trzeba, że o ile rewolucje są zawsze w wynikach swych twórcze, o tyle wojny jako takie tylko burzą i niszczą zatruwając ponadto na długo dusze ludzkie najbezplodniejszym uczuciem nienawiści narodowej. 30-letnia wojna religijna w Niemczech, faszystowska epopeja napoleońska czy wreszcie walka niemieckiego imperializmu od 1914-1945 o panowanie nad światem pogłębiły i spopularyzowały na świecie zdobycze reformacji, rewolucji francuskiej i rewolucji rosyjskiej,

ale same wojny jako takie nie wniosły nic pozytywnego w dorobek trwały ludzkości. Przyszła wojna, która nie byłaby nawet wojną wynikającą z ofensywy jakiejś nowej rewolucyjnej myśli, a jedynie samobójczą kontr-ofensywą ginącego kapitalizmu, mogłaby łatwo stać się zapowiadany przez Spenglera w „Untergang des Abendlandes”, upadkiem kultury zachodniej.

Polska odnowiona społecznie, stawiająca i u siebie, w swym zrujnowanym domu i wszędzie, gdzie głos jej może być słyszany na pracę produkcyjną i pokój, jako rękoiemcę swego własnego istnienia, służy przez to właśnie tej wspólnej kulturze, którą nazywamy zachodnią. Stawiający na nową wojnę ludzie są przede wszystkim tej tak żarliwie bronionej przez nich zachodniej kultury potencjalnymi grabarzami.

ANTONI SŁONIMSKI

H. G. W E L L S

H. G. Wells, syn zawodowego gracza cricketowego i panny służącej, niedożywiony, wątły młodzieniec drukujący swe pierwsze fantastyczne opowiadania w podrzędnych miesięcznikach angielskich szybko stał się ulubionym pisarzem młodzieży końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku.

Czasy te kształtujące się w pełnym, pogodnym blasku teorii ewolucji i wiary w postęp musiały znaleźć swego apostoła. Książki Wellsa rozpałały w młodych ludziach tego pokolenia zapal i żarliwą namiętność wiedzy. Jeśli młody chłopiec stronił od cricketa i dziewcząt i z książką przy lampie naftowej przesiadywał długie wieczory, można było to prawie na pewno przypisać wpływowi Wellsa. Ojciec jego uczył chłopców gry w cricketa, on uczył ich od cricketa stronić.

Za jego to sprawą roztargnieni młodzieńcy w słomkowych kapeluszach, przechadzający się letnim wieczorem po plażach Brighton podnosili śmiało oczy ku niebu, marząc o pokonaniu wrogich sił natury i podróżach międzyplanetarnych. Książki Wellsa ośmielały myśl, odrywały od teraźniejszości i wskazywały ekspansję śmielszą od brytyjskiej ekspansji kolonialnej. Żagle okrętów przepływających w oddali nie pociągały już wyobraźni zarażonej śmiałymi obrazami samolotu i rakiety.

Jeden z założycieli Fabian Society, wielki pisarz socjalistyczny kształtował również społeczny pogląd na świat swego pokolenia. Jednocześnie już od początków swej kariery literackiej, uwielbiany przez młodzież zyskiwał sobie coraz większe uznanie u miłośników tradycyjalistycznej prozy angielskiej i u krytyków literackich. Tę pozycją niejako oficjalną zdobyły mu powieści psychologiczne pisane z humorem i wnikliwością obserwacji. „Mr. Polly” stał się postacią, którą życie przyjęło na równi z bohaterami Dickensa. „Kips” stał się jedną z klasycznych już dziś powieści obyczajowych.

Dopiero jednak okres ostatniego ćwierćwiecza przynosi nam obraz prawdziwego Wellsa, filozofa i nauczyciela, zjadliwego satyryka i tragicznego apostoła. Wśród kilkudziesięciu książek wydanych w tym okresie, trudno wyliczyć jakieś dzieło specjalnie ważniejsze od innych. Jak u Woltera promieniuje raczej całokształt pisarstwa niż jakieś jedno osiągnięcie wyjątkowe.

Przepowiednie Wellsa i jego zdolność czytania przyszłości budzi zdumienie. Jest to pisarz o wyobraźni absolutnej ale obrazy przyszłości w jego książkach nie mają nic w sobie z elementami zgadywania. Wyobraź-

nia Wellsa poparta jest ogromną, encyklopedyczną wiedzą przyrodniczą i historyczną. Jeszcze w wieku dziewiętnastym pisze Wells o konkurencji, która nastąpić musi między kolejami żelaznymi, autobusami a wreszcie między samolotami i raketami. Przed pierwszą wojną światową w 1913 roku pisze w powieści „World set free” o bombach atomowych, a warto przy tym zaznaczyć, że bomba, którą Wells opisuje wybuchnąć ma w roku 1955 i jest bombą uranową. Przewiduje Wells jeszcze przed pierwszą wojną światową skutki moralne użycia energii atomowej i próby organizowania komitetów międzynarodowych dla ocalenia ludzkości.

I tu zachodzi fakt osobliwy. Gdy przepowiednie jego okazują się bezbłędne, gdy życie potwierdza i realizuje jego wizję, prasa i kierowana przez prasę opinia traktuje go niechętnie, często wręcz wrogo. Rośnie w cenie jako autor „Mr. Polly” czy „Kipsa”, krytyka nie szczędzi pochwał co do tego gatunku jego prozy i milczeniem pomija jego kłopotliwe wizjonerstwo. Bo wizjonerstwo Wellsa nie jest bierne, nie jest on podobny do katastrofistów mówiących o nieuniknionym końcu świata lub zagładzie cywilizacji ani też nie jest autorem wróżebnym, dającym pogodne i niekłopotliwe wizje przyszłości. Wizja jego narzuca konsekwencje, zmusza nie tylko do uznania jego przesłanek rozumowych ale wymaga działania.

Jeśli nauka Chrystusa była zbyt wielkim ciężarem i konsekwentne przyjęcie zasady miłości bliźniego i wyrzeczenia się dóbr ziemskich wymagało heroizmu ducha — podobnie prorok z Kent zbyt wiele wymaga od ludzi. Wymaga czegoś więcej niż uczucia — rzędu myślenia i działania z myślą zgodnego. Jak encyklopedyści francuscy przygotowywali drogę Wielkiej Rewolucji — toruje on drogę epoce cywilizacji technicznej. Nie tylko przewiduje drogi, którymi ta cywilizacja kroczyć będzie ale widzi niebezpieczeństwa i nawołuje do działania. Stawia drugiej wojnie światowej cele, tworzy z lordem Sankeyem „Deklarację Praw Człowieka”, bije w nacjonalizmy i okazuje nieodpartą konieczność unifikacji świata. A jednak głos jego mija niemal bez echa. Sekret tego niepowodzenia jest łatwy do odgadnięcia. Nauka jego nie jest wymierzona przeciw nikomu, nie ma w niej podniecającej witaminy nienawiści.

Wells rząda ogromnych wysiłków konstruktywnych nie dając w zamian doraźnej satysfakcji wyżycia się ludzkiemu libido. Nie trafia do uczuć, nie stara się porwać żadną demagogią. Nie opiera się na żadnej zorganizowanej grupie działającej, zwalcza kościół i atakuje marksizm. Uznaje piękno nauki Chrystusa, ocenia w pełni historyczną rolę marksizmu ale nie czyni z tych dwu doktryn uniwersalnych przedmiotu kultu. Międzynarodowość jego zadrażnia uczucia nacjonalistyczne. Nie chce być leaderem, bo ludzie dorośli nie potrzebują leaderów. Wielcy tego świata wiodą z nim dyskusje. Mówi z Leninem i Rooseveltem. Einsteina i Freuda zalicza do grona swych przyjaciół. Jest oschły i nietolerancyjny dla błędów i głupoty. Cytują go podręczniki przyrodnicze i książki logików. Publicyści pism brukowych cytują go wpółironicznie. A przecież choć powoli i opornie termin „wellsizm” przenika do słownictwa codziennego.

H. G. Wells kończy w roku bieżącym lat osiemdziesiąt. Danym mu było dożyć końca wojny i początku ery atomowej. Danym mu było oglądać własnymi oczami świat, który przewidział, którego się lękał, przed którym przestrzegał. Świat maszyn potężnych i słabych ludzi, świat najgłębszych myśli ludzkich i najgłębszego pohańbienia istoty ludzkiej; świat który był zdolny produkować wszelkie dobra w ilościach nieograniczonych i świat, który pozwalał ginąć z głodu milionom. Świat rozjaśniony nieznanym dotąd blaskiem rozbitego atomu i zasłonięty dymami pieców w których palono całe narody.

Jeżeli człowiek zdoła opanować groźne siły natury, które rozpętał własną swą wolą, jeśli ludzkość przystosuje się do nowych warunków

życia wytworzonych przez rozwój cywilizacji technicznej i siłę niepomierłą obróci na dobro — pamięć Wellsa przetrwa długie wieki. Z mroku naszych czasów przyszłe pokolenia wyniosą postać proroka z Kent na cokoły pomników. Z podziwem wspominać będą tego samotnego człowieka torującego drogę wielkim przemianom. Podziwiać będą jego wyobraźnię bezbłędną, jego miłość do gatunku ludzkiego, jego wiarę w człowieka i nadzieję urągającą straszliwym i wielkim czasom, przed którymi szedł.

STANISŁAW ILEWICZ

PODPORUCZNIK O. UCIEKA

Była wczesna jesień. Rok 1941 dobiegał końca; my wcióż byliśmy w Sachsenhausen. Mało nas zostało z lubelskiego transportu. Ci, którzy „jeszcze byli” ogromnie się zmienili. Przybywali nowi; wieści przynoszone przez nich były niewesołe. I zawsze to samo, zawsze te kłopoty z robotą, zawsze ten sam głód. Listy z domu przychodziły regularnie. Już umieliśmy czytać między wierszami, wiedzieliśmy jaka jest sytuacja, sami też przemycaliśmy o sobie pewne szczegóły. W kraju nasze rodziny często nie miały pojęcia, co to jest obóz koncentracyjny. Żona radziła mi uczyć się praktycznie języka niemieckiego, przysłała mi pyżamę i inne drobiazgi. Wyobrażała sobie, że jestem jeśli nie w pensjonacie, to przynajmniej tak jak w oficerskim obozie jeńców, gdzie oficerowie otrzymywali pobory, uczyli się obcych języków, dyskutowali, czytali. Nie wiedziała, że Grzeczmarowski ongiś bojowiec PPS — po 3 miesięcznym pobycie w obozie, powiedział, że wolałby być kilka lat w katordze (był 10 lat) niżeli te 3 miesiące w Sachsenhausen. Uczyłem się praktycznie języka niemieckiego, owszem. Słyszałem stale: Polnische Schwein, Blöder Hund, Mist Volk — aufstehen, hinlegen, still gestanden i t.d. O czytaniu książek nie było mowy, bo wracałem o 7,30, 8 lub 9 wieczorem, a o wpół do dziesiątej wszystko do łóżek... Pyżamę nie mogłem nosić, bo mieliśmy więzienne ubrania. Ale cóż... Gdy byłem na wpół wykończony, gdy mi zęby wybito, gdy siedziałem w przysiadzie — zawsze pisałem: jestem zdrow, czuję się dobrze.

O mnie się nie martw, grunt to twoje i Wiesia zdrowie, niech się uczy fizyki, chemii, matematyki. Niech to robi, niech robi to dla mnie. Przez miłość moją dla niego...

Z Niemcami, więźniami nie utrzymywaliśmy bliższego kontaktu. Tylko tyle, ile musieliśmy. Niemiecki komunista, czy S.D., asocjal politisch, zielony bandyta, to wszystko jedno. Odnosili się do nas wrogo. Byliśmy dla nich tylko Polakami, nigdy kolegami, towarzyszami niedoli. Owszem były wyjątki, ale cóż — tylko wyjątki...

Właśnie Niemcy „koledzy” zabijali nas, czynili życie strasznym, oni wieszali w ustępie, w umywalni, oni na swoją rękę robili z nami sport. Wracamy z roboty. Idzie kolumna za kolumną. W bramie dyżurny wpuszcza nas piątkami, liczy sztuki, numery. Na placu apelowym rozsypujemy się, stajemy przy swoich blokach. Od tej chwili ustaje władza Vorarbeitera, rozpoczyna urzędowanie blokowy, który na robotę nie chodzi. Na lewym ramieniu ma czarną opaskę z białym napisem: „Blok 65”.

Piętnaście tysięcy ludzi stoi. Na komendę: — Mützen ab! — piętnaście tysięcy czapek spada z głów. Jeden ruch, jedno uderzenie. I tak trzy razy dziennie. Tygodnie, miesiące, lata...

Nie idziemy do bloku. Nie słyszymy tego sakramentalnego, jedyne co nam zwiastuje parę godzin spokoju, snu: — Das ganze stillgestanden! Ganze Abteilung kehrt! Im gleichschritt marsch!!!!... Ktoś uciekł... Stoimy... Pada gęsty drobny deszcz. Przenika do kości. Wskazówki dużego zegara

na wieży posuwają się bardzo powoli. Deszcz wzmacnia się, chwilami leje strugami. Woda chlupie pod nogami i w butach. Z czapek spływa na kołnierz. Woda już stoi po kostki. Tulimy się do siebie, dygotamy z zimna. Mija 7, 8. Ściemniło się. Chorzy i co słabsi padają. Niosą ich do pobliskiej izby chorych na „Revier”. Liczymy: 10-ciu, 20-tu, 50-ciu, dochodzimy i przekraczamy setkę. Przystajemy liczyć. Coraz większa procesja. Zimno przenikliwe, deszcz pada. Przeklinamy uciekiniera — po jaką cholere uciekał i tak go złapią... Nie bardzo jednak przeklinamy, bo tym razem Polak uciekł, oficer. To była pierwsza ucieczka z Sachsenhausen. Pierwsza z obozu — nie z komendy roboczej. Z komendy uciekali.

Stoimy więc. W poszczególnych blokach mimo tragizmu sytuacji — przecież ludzie umierają — budzi się humor. Jeden udaje, że mdleje, pada na ziemię, czterech dźwiga go do izby chorych. Idzie o ruch o rozgrzanie się. Niosą go, a po kilku minutach wracają z chorym — czasem z symulantem, czasem z chorym naprawdę... Szczęście... Chorego wyrzucili. Ale spacer mają za sobą. Mija 10-11-12-ta. Jest noc. Czarna, ponura, deszcz tylko śniąpi. Ciężka jest ta noc. Jest już 4 rano, 5, 6. Kostniejemy z zimna. Powoli się rozjaśnia. Widzimy dokładnie wskazówki zegara. Na ziemi leżą gromadki tych, którym brakło miejsca w izbie chorych. Jest 7. Kilkaset SS-manów (w Sachsenhausen jest szkoła i kadra SS.) i stado psów policyjnych rusza. Po kilku godzinach wracają z triumfem. Uciekinier został schwytany. Czekamy teraz na egzekucję. Przepisowy program jest następujący: więzień ma na kiju tablicę, na której wypisano: — Hurra, hurra! Ich bin soon wieder da! Więzień musi ten werset wykrzykiwać, za nim idzie dwu więzień z harmonią i gra. Grający ma trójkąt czarny, utyka na nogę. Był potem na Alderney Vorarbeitrem. Z kolei kara chłosty. Na środek placu ustawia się taki mecnauizm. Delikwent wchodzi, mechanizm podobny jest do mów-

nicy. Drzwiczki się zastrzaskują, nogi są uwięzione, wypięta jest tylko właściwa część, przeznaczona do bicia. Z dwu stron stają SS-mani. Mają długi coś około 1½ metra surowiec, wypełniony w środku drucicami. Surowiec jest żółty. Z rozmachem, z ogromną siłą spada. Bije raz jeden, potem drugi. Porcja 45 uderzeń. Po pięciu, dziesięciu delikwent wyje, długo, przeciągle, przerażająco. To wycie jest wstrząsające. Potem skrzeczy, skrzeczy... Przystaje. Druga partia oprawców bije. Trzecia. Skazaniec idzie, a raczej ciągną go do izby chorych. Leczy się parę tygodni, potem idzie do S. K. — karna kompania, gdzie po dalszych kilku tygodniach okrutnych mąk, pracy nad siłą — umiera. W 1942 roku nie robiono już tego. Pzepis brzmiał: za ucieczkę grozi kara śmierci. Niemiec przez rozstrzelanie, inni przez powieszenie.

Ale podporucznika O. nie biją. SS-mani są pełni podziwu. Z obozu uciekł! Pierwszy! Inni uciekali spoza obozu, — więc musi zdemontrować cały przebieg. Idzie z nimi komisja: Komendant obozu, oficerowie, podoficerowie. Była noc gdy uciekał. Deszcz gruby, ciężki. — Pioruny —. O. wziął deskę i koc. Wylazł z baraku, przeczekał światła reflektorów, rozpostarł między drutami deskę i koc, przedostał się na wysoki mur, przeskoczył na zewnątrz i znikł. Oddalił się od obozu około 4 km. w kierunku t.zw. klinierni. Były reflektory, strażnicy, prąd elektryczny. Ukrył się nad kanałem. Gdy oblawa dochodziła do klinierni, wlaźł do wody, a gdy już całkiem blisko niego doszła oblawa, zanurzył się do wody i mając rurkę z sitowia w ustach, znikł pod wodą. Ale psy... Wyciągnęli go. Nikt go nie uderzył.

Oddano go do karnej kompanii — i tam nie tknięto go palcem. Podziw uratował go. Po kilku miesiącach zapomniano o nim, żył sobie w S.K., a gdy wyruszał transport do Nadrenii, wyruszyła z tym transportem połowa karnej kompanii. W tej połowie był podporucznik O. W drodze uciekł. Tym razem na dobre.

Telephon:

GER.6847



HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd : Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

**PRZE
KROJ**

ILUSTROWANY
WIELOBARWNY
TYGODNIK
LITERACKI

REDAKCJA: KRAKÓW, STAROWIŚLNA Nr. 4
Tel. 545,60-62

WYDAWCA: „CZYTELNIK”

POLISH ARTISTS

IN GREAT BRITAIN

with an essay on POLISH ART by

C. POZNAŃSKI

5/6

Published by „NOWA POLSKA” LONDON W.1

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and
printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London,
factory. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

312995/8 60-

P O L S K I TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24

Konto P. K: O.: Warszawa I. 654

::: WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy :::

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,

prof. dr med. L. Hirszfeld (Wrocław),

prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),

prof. dr med. M. Kacprzak,

prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),

prof. dr med. W. Mozołowski (Gdańsk),

prof. dr med. W. Orłowski,

doc. dr med. E. Reicher,

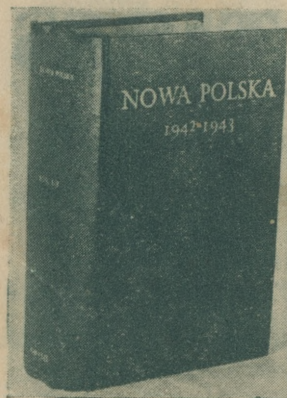
prof. dr med. M. Semerau-Siemianowski (Łódź),

prof. dr med. W. Szenajch,

prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA



REPREZENTACJA „NOWEJ POLSKI” W AMERYCE

25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski”

za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać
dla wygody osobistej w Oddziale Nowojorskim